

# david baldacci

AUTOR **BESTSELLERÓW** *KOLOR PRAWDY i WYGRANA*

TEN KTÓRY PRZEŻYŁ



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

David Baldacci

# Ten który przeżył

przełożył Maciej Raginiak



Warszawa 2012

Tytuł oryginału: *Last Man Standing*

Copyright © 2001 by Columbus Rose Ltd.

All rights reserved

Polish edition copyright © Buchmann Sp. z o.o., Warsaw, 2012

Copyright © for the Polish translation by Maciej Raginiak

Projekt okładki: Krzysztof Kielbasiński

Skład: TYPO 2 Jolanta Ugorowska

ISBN: 978-83-7670-516-3



[www.fabrykasensacji.pl](http://www.fabrykasensacji.pl)

Wydawca:

Buchmann Sp. z o.o.

ul. Wiktorska 65/14, 02-587 Warszawa

Tel./fax 22 6310742

[www.buchmann.pl](http://www.buchmann.pl)

Konwersja:



*Niesłusznie oskarżony człowiek jest zawsze oczerniany  
przez niedoinformowane masy.  
Taki człowiek powinien strzelać na oślep,  
na pewno w coś trafi.*

*ANONIMOWE*

*Szybkość, zaskoczenie i gwałtowność działania.*

*MOTTO HRT*

*Wszystkim wspaniałym nauczycielom  
i innym ochotnikom w całym kraju,  
którzy pomagają urzeczywistnić projekt  
„Cała Ameryka czyta”.*

*Poświęcam tę książkę także pamięci  
Yossiego Chaima Paleya  
(14 kwietnia 1988 - 10 marca 2001),  
najdzielniejszego młodego człowieka, jakiego poznałem.*

Web London trzymał w ręku półautomatyczny karabin SR75 wykonany dla niego na zamówienie przez legendarnego rusznikarza. SR nie tylko zwyczajnie ranił ciało i kości, ale je proszkował. Web nigdy nie wychodził z domu bez tej potężnej broni, był bowiem człowiekiem żyjącym pośród przemocy. Zawsze był gotów zabijać, robić to sprawnie i bezbłędnie. Boże, gdyby choć raz odebrał komuś życie przez pomyłkę, mógłby równie dobrze sam połknąć tę kulę, tak wielkie musiałyby znosić cierpienia. Web miał po prostu taki skomplikowany sposób zarabiania na chleb powszedni. Nie mógł powiedzieć, że kocha swoją pracę, ale naprawdę się w niej wyróżniał.

Nie traktował swojej broni czule, choć kiedy nie spał, czyli właściwie w każdej chwili życia, trzymał w ręku różnego rodzaju sprzęt. Nigdy nie nazywał pistoletu swoim przyjacielem ani nie nadawał mu efektownego imienia, ale broń i tak była ważną częścią jego życia, chociaż, podobnie jak dzikie zwierzęta, narzędzia walki nie pozwalały się łatwo oswoić. Nawet wyszkoleni policjanci nie trafiali w cel osiem razy na dziesięć. Dla Weba nie tylko było to nie do przyjęcia, ale równało się też samobójstwu. Miał wiele osobliwych cech, lecz nie było wśród nich pragnienia śmierci. I tak istniało mnóstwo ludzi, którzy zamierzali go zabić, i raz prawie go dostali.

Mniej więcej pięć lat wcześniej tylko litr czy dwa straconej krwi dzieliły Weba od wykitowania na parkiecie szkolnej sali gimnastycznej, usianym ciałami innych mężczyzn, już nieżywych albo umierających. Kiedy wylizał się z ran, zdumiewając lekarzy, którzy się nim opiekowali, zaczął nosić SR zamiast półautomatu używanego przez jego towarzyszy broni. Tamten przypominał M16, mieścił w komorze dużą kulę kalibru .308 i stanowił doskonały wybór, jeśli twoim celem było zastraszenie. SR zaś sprawiał, że wszyscy chcieli być twoimi przyjaciółmi.

Web przypatrywał się przez przyciemnione szyby suburbana wszystkim osobom stojącym na rogach i garstkowi podejrzanych ludzi czających się w mrocznych uliczkach. Gdy przesuwali się w głąb wrogiego terytorium, spojrzenie Weba powróciło na ulicę, gdzie, jak wiedział, każdy pojazd mógł być zamaskowanym wozem bojowym.

Szukał każdej pary oczu błędzących wzrokiem, skinienia głową albo palców sprytnie stukających w telefony komórkowe i próbujących poważnie zaszkodzić drogiemu staremu Webowi.

Suburban skręcił za róg ulicy i zatrzymał się. Web spojrzał na pozostałych sześciu mężczyzn, stłoczonych z nim w ciasnym wnętrzu wozu. Wiedział, że myślą o tym samym co on: wyjść stąd szybko i bez problemów, przenieść się na osłonięte

stanowiska, utrzymać pola ostrzału. Strach tak naprawdę nie wchodził w grę, nerwy to jednak co innego. Adrenalina nie była jego przyjaciółką, w rzeczywistości bardzo łatwo mógł zostać przez nią zabity.

Web zaczerpnął głęboko powietrza dla uspokojenia. Musiał mieć tętno między sześćdziesiąt a siedemdziesiąt. Przy osiemdziesięciu pięciu uderzeniach karabin drżał przy tułowiu, przy dziewięćdziesięciu nie wolno było naciskać spustu, ponieważ ciśnienie krwi oraz napięte nerwy w barkach i ramionach gwarantowały, że nie uda się wystarczająco dobrze strzelić. Kiedy uderzeń było więcej niż sto na minutę, całkowicie traciło się swoje subtelne umiejętności motoryczne i nikt nie zdołałby wtedy trafić z pieprzonej armaty w odległego o metr słonia; równie dobrze można było przylepić sobie na czole kartkę z napisem: „ZABIJ MNIE SZYBKO”, bo taki bez wątpienia czekałby wtedy człowieka los.

Web wyrzucił z siebie napięcie, wraz z powietrzem wciągnął spokój i potrafił teraz wydestylować opanowanie z rodzącego się chaosu.

Suburban ruszył, minął jeszcze jeden róg i zatrzymał się. Web wiedział, że po raz ostatni. Krótkofalówka przestała syczeć, kiedy Teddy Riner powiedział do swojego mikrofonu: „Charlie do COT, proszę o upoważnienie do kompromisowych rozwiązań i zezwolenie na przejście do żółtego”.

Web usłyszał w swoim mikrofonie zwięzłą odpowiedź COT, czyli Centrum Operacji Taktycznych: „Zrozumiałem, Charlie Jeden, czuwam”. W świecie barw Weba „żółty” oznaczał ostatnie ukryte i zabezpieczone stanowisko. „Zielony” to było miejsce krytyczne, chwila prawdy: wyłom. Podczas przebywania kawałka ziemi, który rozciągał się pomiędzy względnym bezpieczeństwem i wygodą żółtego a chwilą prawdy na zielonym, czasami sporo się działo. „Upoważnienie do kompromisowych rozwiązań”. Web wypowiedział te słowa sam do siebie. W ten sposób prosiło się po prostu o pozwolenie na likwidowanie ludzi w razie konieczności, choć celowo brzmiało to tak, jakby uzyskiwało się jedynie od szefa zgodę na obniżenie ceny używanego samochodu o parę dolców. Jednostajny szum krótkofalówki znów został przerwany, kiedy z COT odpowiedziano: „COT do wszystkich jednostek: Macie upoważnienie do kompromisowych rozwiązań i zezwolenie na przejście do żółtego”.

Wielkie dzięki, COT. Web przysunął się powoli do drzwi ładunkowych suburba. On miał iść na czele, a Roger McCallan z tyłu. Tim Davies miał zrobić wyłom, a Riner był dowódcą grupy. Wielki Cal Plummer i dwaj pozostali szturmowcy, Lou Patterson i Danny Garcia, spokojnie stali w pogotowiu z karabinami maszynowymi MP5, granatami błyskowo-hukowymi i pistoletami kalibru .45. Zaraz po otwarciu drzwi mieli się rozbiec i, obracając się w biegu dokoła, szukać zagrożeń mogących pojawić się ze wszystkich stron. Stawali wtedy najpierw na palcach, a dopiero potem opuszczali się na całe stopy, kolana mieli zgięte, żeby zamortyzować odrzut, gdyby musieli strzelać. Maski na twarzy Weba ograniczały mu pole widzenia do skromnego obszaru. W tym swego rodzaju miniaturowym broadwayowskim teatrze miał obejrzeć zbliżający się rzeczywisty zamęt, ale nie wymagano tu drogiego biletu ani eleganckiego garnituru. Od tej chwili miały im też wystarczyć sygnały dawane rękami. Kiedy leciały w twoją stronę kule, usta i tak



najczęściej nie były w pełni sprawne. Web nigdy nie mówił dużo w pracy.

Jak za każdym razem, patrzył, jak Danny Garcia się żegna. I Web powiedział to, co zawsze mówił, kiedy Garcia kreślił znak krzyża, zanim nagle otwierały się drzwi chevroleta.

- Bóg jest zbyt mądry, żeby się tu zjawić, Danny, mój chłopcze. Możemy liczyć tylko na siebie. - Web zawsze mówił to kpiarskim tonem, ale nie żartował.

Pięć sekund później drzwi ładunkowe otworzyły się gwałtownie i grupa wysypała się na zewnątrz, zbyt daleko od miejsca akcji. Zwykle podjeżdżali aż pod swój ostateczny cel i wpadali tam z hukiem przy użyciu niewielkiej ilości materiału wybuchowego, jednak tutaj sytuacja logistyczna była trochę zagmatwana. Porzucone samochody, pozostawione na ulicy lodówki i inne spore przedmioty być może nie przypadkiem zagradzały drogę do obiektu.

Szmer krótkofalówki znów ucichł, kiedy zadzwonili snajperzy z Grupy Rentgen. Poinformowali, że dalej z przodu w uliczce są jacyś mężczyźni, ale że nie należą oni do ekipy, na którą poluje Web. Przynajmniej snajperzy tak uważali. Jak jeden mąż Web i jego Grupa Charlie wyprostowali się i pognali w głąb uliczki. Siedmiu ich kolegów po fachu z Grupy Hotel wysiadło z innego suburba na drugim końcu кварталу, by zaatakować cel od tyłu, od lewej strony. Plan główny przewidywał, że Charlie i Hotel spotkają się gdzieś w połowie tej strefy walki pozornie będącej zwykłą dzielnicą miasta.

Web i jego towarzysze kierowali się teraz na wschód, a zaraz za ich tyłkami nadciągała burza. Błyskawice, grzmoty, wiatr i zacinający deszcz na ogół rozpieprzały łączność naziemną, rozmieszczenie taktyczne i nerwy mężczyzn, zwykle akurat w tych rozstrzygających minutach, kiedy wszyscy musieli postępować perfekcyjnie. Choć dysponowali tyłoma cudami techniki, jedyną możliwą reakcją na gniew Matki Przyrody i kiepskie warunki logistyczne był po prostu szybszy bieg. Sapiąc, pędzili uliczką, wąskim pasem dziurawego, zaśmieconego asfaltu. Po obu stronach stały budynki, których ceglane mury nosiły wyraźne ślady dziesięcioleci strzelanin. Niektóre bitwy toczyły się między dobrymi i złymi, ale w większości wypadków biorący w nich udział młodzi ludzie rozwalali swoich braci z powodu sporów o narkotykowe terytoria, kłótni o kobiety albo dlatego, że tak im się podobało. Tutaj pistolet czynił cię mężczyzną, chociaż tak naprawdę mogłeś być tylko dzieckiem, które wybiegło na dwór po obejrzeniu w sobotę porannych kreskówek z przekonaniem, że jeśli zrobi w kimś wielką dziurę, to i tak wstanie on z powrotem i będzie dalej się z nim bawił.

Natrafili na grupę mężczyzn, którą zauważyli wcześniej snajperzy: gromadki Murzynów, Latynosów i Azjatów w najlepsze handlujących narkotykami. Najwyraźniej potężne odloty i wielkie nadzieje związane z nieskomplikowanym gotówkowym interesem usuwały na dalszy plan wszystkie kłopotliwe kwestie dotyczące rasy, wyznania, koloru skóry czy poglądów politycznych. Webowi wydawało się, że większość tych facetów dzieli od grobu tylko jeden niuch, jedno wbicie igły w żyłę czy jedna połknięta tabletka. Był zdumiony, że to nędzne zgromadzenie weteranów grafficiarstwa w ogóle ma dość energii i jasności umysłu,

by dokonać prostej transakcji, wymiany gotówki na małe torebki z piekłem dla mózgu, ledwo zamaskowanym i rekomendowanym jako środek na polepszenie samopoczucia, a i to tylko za pierwszym razem, kiedy wprowadzałeś truciznę do swojego organizmu.

W obliczu budzących strach karabinów Grupy Charlie wszystkie ćpuny, oprócz jednego, padły na kolana i błagały, żeby ich nie zabijać ani nie stawiać w stan oskarżenia. Web skupił uwagę na młodym człowieku, który nadal stał. Głowę miał owiniętą czerwoną przepaską – symbol przynależności do jakiegoś gangu. Dzieciak był wąski w pasie i miał napakowane ramiona; wytarte spodenki gimnastyczne zwisały mu z tyłka, ukazując rowek między pośladkami, a przekrzywiony ciasny podkoszulek opinał jego umięśniony tułów. Jego mina zaś wyrażała refleksję głęboką jak studnia, znamionującą postawę, która mówiła: „Jestem bystrzejszy, twardszy i będę żył dłużej od ciebie”. Web musiał przyznać, że ten facet wygląda nieźle jak na obszarpańca.

Aż trzydzieści sekund zajęło ustalenie, że wszyscy oprócz „Bandany” są zupełnie nieprzytomni i że żaden z narkomanów nie ma przy sobie broni ani telefonu komórkowego, z którego mógłby zadzwonić do celu z ostrzeżeniem. „Bandana” miał wprawdzie nóż, ale noże na nic by się nie zdały wobec kevlarowych osłon i półautomatów. Pozwolili mu go zatrzymać. Jednak gdy Grupa Charlie ruszyła dalej, Cal Plummer biegł tyłem, na wszelki wypadek celując z MP5 do młodego „przedsiębiorcy” z bocznej uliczki.

„Bandana” krzyknął wtedy do Weba, że podziwia jego karabin i chce go kupić. Wrzeszczał za plecami Weba, że dałby mu kupę forsy, a potem powiedział, że zastrzeliliby z tej broni Weba i wszystkich innych. Cha, cha! Web spoglądał na dachy, gdzie, jak wiedział, członkowie Grup Whisky i Rentgen czuwali w przedniej pozycji strzeleckiej z nabojami wprowadzonymi do komór, mierząc ze śmiertelnością precyzją w pnie mózgów tych zbitych w stadko nieudaczników. Snajperzy byli najlepszymi przyjaciółmi Weba. Doskonale rozumiał, jak podchodzą do swojej pracy, bo przez lata był jednym z nich.

Niegdyś całymi miesiącami Web leżał w parujących bagnach, gdzie pełzały po nim wkurzone, jadowite wodne węże. Albo tkwił w smaganych mroźnym wiatrem rozpadlinach gór, trzymając łożę SR75 z ochronną skórzaną poduszczką przy swoim policzku, i obserwował teren przez lunetę, aby zapewnić zabezpieczenie oraz informacje grupom szturmowym. Gdy był snajperem, nabył wielu ważnych umiejętności, na przykład nauczył się bardzo cicho sikać do kubka. Pośród innych lekcji było dokładne rozdzielanie różnych rodzajów jedzenia w czasie pakowania, aby móc się nasycić węglowodanami po omacku w całkowitych ciemnościach, i wyrównywanie naboju z myślą o jak najsprawniejszym przeładunku, co ogólnie pozwoliło mu wypracować surowy wojskowy model zachowań, który wielokrotnie się sprawdził. Co nie znaczy, że łatwo by mu było przenieść którykolwiek z tych rzadkich talentów do sektora prywatnego, ale Web i tak nie przewidywał takiego kroku.

Życie snajpera polegało na przenosinach z jednych skrajnych warunków w drugie. Miał on za zadanie osiągnąć najlepszą możliwą pozycję strzelecką przy jak

najmniejszym zagrożeniu dla własnej osoby, a często te cele zwyczajnie nie dawały się pogodzić. Po prostu robił to najlepiej, jak mógł. Godziny, dni, tygodnie, nawet miesiące wypełnione wyłącznie nudą, przeważnie osłabiającą morale i podstawowe umiejętności, rozrywały nagle chwile wykręcającej trzewia wściekłości, która z reguły opanowywała snajpera w gorączce strzelaniny i powszechnego zamętu. A decyzja o użyciu broni oznaczała, że ktoś umrze, i nigdy nie było wiadomo, czy jego śmierć też się nie wyświetli na tablicy wyników.

Web potrafił w każdej chwili błyskawicznie przywołać te obrazy, tak żywe były one w jego pamięci. Piątka niezawodnych nabojów z wklęsłymi czubkami, ułożonych rządkiem w sprężynowym magazynku, czekała, aż będzie mogła rozpruć przeciwników z szybkością dwukrotnie przewyższającą prędkość dźwięku, kiedy palec Weba pociągnie za ozdobiony klejnotem spust, który zawsze trzaskał tak słodko przy dokładnie stu pięciu dekagramach nacisku. Gdy tylko ktoś wszedł w jego strefę zabijania, Web strzelał i człowiek nagle był trupem padającym bezwładnie na ziemię. A jednak najważniejszymi strzałami Weba jako snajpera były te, z których zrezygnował. To była właśnie taka robota. Nie nadawali się do niej tchórze, głupcy, a nawet jednostki o przeciętnej inteligencji.

Web podziękował w myślach snajperom z dachów i dalej biegł uliczką.

Natknęli się na dziecko, może dziewięcioletnie, które siedziało bez koszulki na kawale betonu. W pobliżu nie było widać nikogo dorosłego. Zbliżająca się burza strząsnęła przynajmniej dziesięć stopni z termometru i rtęć nadal opadała. A jednak chłopak nie miał na sobie koszuli. „Czy w ogóle kiedykolwiek było mu dane włożyć koszulkę?” – zastanawiał się Web. Widział już wiele ubogich dzieci. Nie uważał się za cynika, był raczej realistą. Żałował ich, ale niewiele mógł zrobić, żeby im pomóc. A jednak w tych czasach zagrożenie mogło nadejść z każdej strony, więc automatycznie obrzucił chłopca wzrokiem od stóp do głów w poszukiwaniu broni. Na szczęście niczego takiego nie zobaczył, nie miał ochoty strzelać do dziecka.

Chłopak patrzył na niego. W jasnym kręgu światła rzucanym przez migoczącą latarnię uliczną, jedyną, która jakimś cudem nie została trafiona kulą, rysy dziecka były wyraźnie widoczne. Web zauważył zbyt szczupłe ciało oraz mięśnie barków, ramion i brzucha, już stwardniałe i zebrane wokół wystających żeber, podobnie jak drzewo tworzy włókna kory w uszkodzonym miejscu. Przez czoło chłopca biegła blizna po cięciu nożem. Ściągnięta dziura o nabrzmiąłych brzegach w jego lewym policzku była łatwą do rozpoznania dla Weba pamiątką po kuli.

- Niech ich diabli - powiedziało dziecko znużonym głosem, a potem się zaśmiało, czy też, dokładniej mówiąc, zarechotało.

Słowa chłopca i jego śmiech zadźwięczały w głowie Weba jak brzęk talerzy, nie miał pojęcia dlaczego; poczuł nawet, że ciarki chodzą mu po skórze. Już wcześniej widywał dzieci w tak beznadziejnej sytuacji, były tu wszędzie, a jednak teraz w jego głowie działo się coś, czego nie mógł do końca zrozumieć. Może robił to za długo, i czy po tak cholernie długim czasie nie można było zacząć tak myśleć?

Web przesunął palec w kierunku spustu karabinu i ruszył naprzód zwinnymi susami, próbując jednocześnie uwolnić się od obrazu chłopca. Chociaż był bardzo

szczupłym mężczyzną i nie mógł się popisywać muskulaturą, mógł udźwignąć spory ciężar, miał też mocne palce i szerokie z natury barki. Był przy tym o wiele szybszy od pozostałych członków grupy i cechowała go wielka wytrzymałość. Web mógł biegać dziesięć kilometrów w sztafecie przez cały dzień. Zawsze przedkładał szybkość, refleks i odporność nad napakowane mięśnie. Kule przedzierały się przez nie z taką łatwością jak przez tłuszcz, a nie mogły zrobić ci krzywdy, jeśli cię nie trafiły.

Większość ludzi opisałaby Weba Londona – patrząc na jego potężne bary i sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu – jako wielkiego faceta. Zwykle jednak koncentrowano się na lewej stronie jego twarzy, czy też na tym, co z niej zostało. Web niechętnie przyznawał, że osiągnięcia współczesnej medycyny w dziedzinie rekonstrukcji zniszczonego ciała i kości są zadziwiające. Przy idealnym oświetleniu, to znaczy w prawie zupełnej ciemności, ledwo zauważało się stary krater, nową wypukłość policzka oraz znakomicie przeszczepioną tkankę kostną i skórę. „Naprawdę niezwykle” – mówili wszyscy. Wszyscy oprócz Weba.

Na końcu uliczki mężczyźni zatrzymali się jeszcze raz i kucnęli. Tuż przy zgiętym łokciu Weba znajdował się Teddy Riner. Przez swój bezprzewodowy mikrofon kostny Motoroli Riner skontaktował się z COT i powiedział, że Charlie jest na żółtym i prosi o zezwolenie na przejście do zielonego – „krytycznego miejsca”. To wymyślne określenie w tym wypadku oznaczało po prostu drzwi wejściowe. Web jedną ręką trzymał SR75, a na prawej nodze, w nisko opuszczonej taktycznej kaburze, wymacał również wykonany na zamówienie pistolet kalibru .45. Identyfikacyjny pistolet wisiał na ceramicznej płycie antyurazowej, która zakrywała mu klatkę piersiową, i tego też dotknął w ramach swoistego rytuału poprzedzającego atak.

Web zamknął oczy i wyobraził sobie, jak potoczą się wypadki w następnej minucie. Popędzą do drzwi. Davies będzie biegł w środku, nieco wysunięty do przodu, i podłoży ładunek. Szturmowcy w swoich słabszych dłoniach będą luźno trzymać granaty błyskowo-hukowe. Półautomaty będą odbezpieczone, a spokojne palce nie oprą się na spustach, dopóki nie nadejdzie czas zabijania. Davies zdejmie mechaniczne zabezpieczenia ze skrzynki kontrolnej i sprawdzi stan lontu przymocowanego do ładunku przełamującego, szukając jakichś usterek, z nadzieją że żadnych nie znajdzie. Riner przekaże COT nieśmiertelne słowa: „Charlie na zielonym”. COT odpowie tak jak zawsze: „Czuwam, kontroluję sytuację”. Ta kwestia zawsze drażniła Weba, bo kto, do cholery, tak naprawdę kontrolował sytuację w czasie ich akcji?

W całej swojej karierze zawodowej Web nigdy nie słyszał, żeby COT doszło do końca odliczania. Po „dwa” snajperzy namierzali cele i rozpoczynali ogień, a sfera ujadających jednocześnie trzysta ósemek była odrobinę hałaśliwa. Potem, zanim COT powiedziało „jeden”, wybuchał ładunek przełamujący i ten huragan zagłuszał nawet twoje własne myśli. W rzeczywistości gdyby ktoś kiedyś usłyszał, jak COT kończy odliczanie, miałby poważne kłopoty, bo to by oznaczało, że ładunek nie zadziałał. A to byłby naprawdę kiepski początek dnia roboczego.

Po wysadzeniu drzwi Web i reszta jego grupy mieli wpaść do celu i rzucić

granaty błyskowo-hukowe. Była to trafna nazwa, ponieważ „błysk” oślepił wszystkich, a „huk” rozrywał pozbawioną ochrony błonę bębenkową. Gdyby natrafili na kolejne zamknięte na klucz drzwi, ustąpiłyby one szybko pod wpływem niegrzecznego pukania strzelby Daviesa albo przyklejanego ładunku wyglądającego jak kawałek dętki, ale zawierającego materiał wybuchowy C4, za pomocą którego można było wyważyć właściwie każde drzwi. Mieli postępować według wyuczonych schematów, skupiać uwagę na dłoniach i broni, strzelać precyzyjnie, myśleć kategoriami posunięć szachowych. Komunikacja miała sprowadzać się do rozkazów dotykowych. Mieli uderzyć w gorące punkty, zlokalizować wszelkich zakładników i wyprowadzić ich szybko, żywych. Natomiast nigdy tak naprawdę nie myślało się o umieraniu. Zabierało to za dużo czasu i energii, a liczyły się tylko szczegóły misji oraz podstawowe instynkty i umiejętności udoskonalone podczas wielu akcji, aż stawały się one częścią tego, co tworzyło ciebie.

Według godnych zaufania źródeł budynek, na który mieli uderzyć, mieścił cały finansowy aparat wielkiego interesu narkotykowego, które go główna siedziba znajdowała się w stolicy. Potencjalną zdobycz tej nocy stanowili między innymi księgowi, cenni świadkowie dla rządu, gdyby Webowi i pozostałym udało się wyciągnąć ich żywych. W ten sposób federalni mogliby dobrać się do szefów z kilku stron na podstawie prawa karnego i cywilnego. Nawet wielcy handlarze obawiali się pełnego frontального natarcia urzędu skarbowego, bo te szychy rzadko płaciły podatki Wujowi Samowi. To dlatego wezwano grupę Weba. Specjalizowali się w zabijaniu facetów, których trzeba było zabić, ale byli też cholernie dobrzy w utrzymywaniu ludzi przy życiu. Przynajmniej dopóki schwytani goście kładli dłonie na Biblii, składali zeznania i pakowali jakieś większe zło na bardzo długo do więzienia.

COT miało się zgłosić ponownie i zacząć odliczanie: „Pięć, cztery, trzy, dwa...”.

Web otworzył oczy, skoncentrował się. Był gotowy. Tętno sześćdziesiąt cztery; Web po prostu to wiedział. W porządku, chłopcy, żyła złota jest prosto przed nami. Chodźmy i je zgarnijmy. Centrum zgłosiło się jeszcze raz w jego słuchawce i dało pozwolenie na przejście do drzwi.

I właśnie wtedy Web London zamarł. Jego grupa wyskoczyła z ukrycia i ruszyła do „zielonego”, miejsca krytycznego, a Web tego nie zrobił. Miał wrażenie, że jego ramiona i nogi nie są już częścią jego ciała, podobnie jak człowiek, który zasnął z ręką pod brzuchem, po przebudzeniu stwierdza, że krążenie całkiem w niej ustało. Nie wydawało się, żeby przyczyną tego był strach albo nerwy; Web robił to zbyt długo. A jednak mógł tylko patrzeć, jak Grupa Charlie pędzi naprzód. Podwórko zostało uznane za ostatnią większą strefę zagrożenia przed miejscem krytycznym i grupa jeszcze przyspieszyła, szukając wszędzie najmniejszych oznak oporu. Najwyraźniej żaden z mężczyzn nie zauważył, że Weba z nimi nie ma. London oblał się potem, napiął każdy mięsień, starając się przewyciężyć to, co przygniatało go do ziemi, aż zdołał wolno wstać i zrobić parę chwiejnych kroków do przodu. Jego stopy i ramiona pokrywał niewidzialny ołów, całe ciało płonęło i pękała mu głowa, ale, zataczając się, przez chwilę brnął dalej, dotarł do podwórka, a potem padł na ziemię, podczas gdy reszta grupy oddalała się od niego.

Podniósł wzrok wystarczająco szybko, by zobaczyć jak Grupa Charlie biegnie co tchu z bronią wymierzoną w cel, który zdawał się po prostu błagać ich, żeby przyszli i uszczknęli z niego co nieco. Już za pięć sekund będą mogli przystąpić do ataku. Te kilka sekund miało zmienić życie Weba Londona na zawsze.

Pierwszy przewrócił się Teddy Riner. Mężczyzna upadał przez dwie sekundy, przy czym w drugiej już nie żył. Po przeciwnej stronie Cal Plummer runął na ziemię, jakby jakiś olbrzym zdzielił go toporem. Web patrzył bezsilnie, jak ciężka amunicja uderza w kevlarowe osłony jego towarzyszy, a potem w ciało. Nie wydawało się właściwe, żeby dobrzy ludzie umierali tak cicho.

Zanim karabiny zaczęły strzelać, Web upadł na swój SR75, który teraz tkwił pod nim. Ledwie mógł oddychać; kevlar i broń zdawały się miażdżyć mu przeponę. Coś leżało na jego masce. Nie mógł o tym wiedzieć, ale był to kawałek Teddy'ego Rinera, wyrzucony przez potworny pocisk, który wybił dziurę o rozmiarach męskiej dłoni w pancerzu dowódcy i posłał część Rinera tam, gdzie daleko za resztą Grupy Charlie leżał Web – jedyny żywy.

Web nadal czuł się sparaliżowany, żadna z jego kończyn nie reagowała na błagania płynące z mózgu i nie chciała się poruszyć. Czy przeszedł wylew w wieku trzydziestu siedmiu lat? Potem nagle zapanował nad swoim umysłem, przypuszczalnie pomogły mu w tym odgłosy strzałów, w końcu powróciło mu czucie w ramionach i nogach, więc zdołał zerwać maskę i przetoczyć się na plecy. Wypuścił z płuc strumień powietrza i krzyknął z ulgą. Teraz wpatrywał się w niebo nad swoją głową. Widział włócznie błyskawic, ale z powodu nieprzerwanego ognia w ogóle nie słyszał grzmotów.

Czuł przemożną, szaloną chęć uniesienia głowy i zanurzenia jej w zamęcie, być może po to, by potwierdzić, że w pobliżu latają kule, jakby był dzieciakiem, któremu powiedziano, żeby nie dotykał płomienia kuchenki gazowej, i który wtedy oczywiście nie myśli o niczym innym. Zamiast tego Web sięgnął w dół do pasa, rozpiął przymocowaną z boku torbę i wyciągnął swój termolokator. W najczarniejszą noc TL ukazywał cały świat niewidoczny gołym okiem, skupiając się na gorących rdzeniach, które świeciły prawie we wszystkim.

Web z łatwością wyczuwał smugi kondensacyjne wytwarzane przez świszczące nad nim kule, chociaż nie mógł zobaczyć tego zjawiska nawet przez TL. Zauważył także, że gęsty ostrzał pochodził z dwóch odrębnych kierunków: z kamienicy stojącej dokładnie przed nim i z walącego się budynku tuż po prawej. Popatrzył przez TL na ten drugi dom, ale nie dostrzegł nic oprócz potłuczonych szyb. A potem coś zaobserwował i jego ciało jeszcze bardziej się naprężyło. Płomienie wylotowe wybuchały w tym samym czasie w każdym oknie. Wyskakiwały z otworów okiennych, pozostawały w powietrzu przez kilka sekund, a potem wracały, gdy lufy karabinów, których jeszcze nie wykrył, choć wiedział, że tam są, kończyły swój półkolisty ostrzał o ograniczonym zasięgu.

Gdy znów rozbrzmiały strzały, Web przeturlał się na brzuch i za pomocą termolokatora obejrzał budynek, który pierwotnie miał być celem. Tutaj też na niższym poziomie znajdował się rząd okien. I te same płomienie wylotowe pojawiały się w dokładnie takim samym zsynchronizowanym ruchomym łuku. Webowi udało się teraz dojrzeć długie lufy broni maszynowej. W TL karabiny miały ceglasty kolor, rozgrzany metal niemal topił się od ilości amunicji, jaką wyrzucała z siebie broń. Jednak przyrząd Weba nie pokazał zarysu żadnej ludzkiej postaci, a gdy by jakikolwiek człowiek był w pobliżu, jego termolokator by go namierzył. Bez wątplenia patrzył na jakieś zdalnie sterowane stanowisko strzeleckie. Teraz wiedział, że jego grupa została wrobiona, schwyтана w pułapkę, a przeciwnik nie naraził życia ani jednego człowieka.

Pociski odbijały się rykoszetem od ceglanych murów, które stały za nim i na prawo od niego, i Web czuł, że odłamki uderzają wszędzie dookoła jak stwardniałe krople deszczu. Przynajmniej z tuzin razy prześlizgnęły się po jego kevlarze, ale wtedy były już w dużym stopniu pozbawione prędkości i śmiertelnej siły. Przyciskał nieosłonięte pancerzem nogi i ramiona do asfaltu. Jednak nawet kevlarowa osłona nie wytrzymałaby bezpośredniego trafienia, ponieważ karabiny maszynowe prawie na pewno wyrzucały z siebie pociski kalibru .50, każdy z nich długi jak nóż kuchenny i prawdopodobnie zdolny do przebicia pancerza. Web oceniał to wszystko na podstawie naddźwiękowego huku karabinów i charakterystycznego płomienia wylotowego. A smuga kondensacyjna pozostawiana przez pięćdziesiątkę też stanowiła niezapomniane zjawisko. Właściwie czuło się strzał, zanim jeszcze się go usłyszało. Unosiło to każdy włoszek na ciele, tak jak piorun elektryzuje na chwilę przed zabójczym uderzeniem.

Web wykrzykiwał po kolei imiona i nazwiska swoich towarzyszy. Nikt nie odpowiedział. Nikt się nie poruszył. Nie było żadnych jęków, żadnych poruszeń, które świadczyłyby o tym, że gdzieś tam jeszcze tli się życie. A jednak Web dalej wyrzaskiwał nazwiska, obłąkańczo sprawdzał listę obecności. Wszędzie wokół niego eksplodowały kosze na śmieci, rozpryskiwało się szkło, w murach powstawały wyrwy, jakby napierające rzeki żłobiły kaniony. To przypominało plażę w Normandii czy też może raczej szarżę Picketta z wojny secesyjnej, a Web właśnie stracił całą swoją armię. Szkodniki nękające tę uliczkę uciekały przed rzezią. Podwórko zostało oczyszczone z takich gryzoni jak nigdy przedtem. Żaden miejski inspektor nie wykonał nigdy tak dobrej roboty, jak tej nocy miarowo siekająca amunicja kalibru .50.

Web nie chciał umrzeć, ale za każdym razem, kiedy patrzył na to, co zostało z jego grupy, częściowo pragnął dołączyć do towarzyszy. Rodzina walczyła i umierała razem. Ta myśl pociągała Weba. Czuł nawet, jak jego nogi napinają się do skoku w wieczność, a jednak coś silniejszego przejęło nad nim kontrolę i pozostał na ziemi, zwinięty w kłębek. Śmierć oznaczała przegraną. Gdyby się poddał, przyznałby, że wszyscy pozostali zginęli na darmo.

Gdzie, do diabła, byli Rentgen i Whisky? Dlaczego nie spuszczała się po linach, żeby przyjść im z pomocą? Snajperzy z budynków otaczających podwórko nie mogli wprawdzie zejść tak, żeby nie dać się rozerwać na kawałki, ale inni byli na dachach



domów wzdłuż uliczki, którą przyszła Grupa Charlie. Oni mogli zjechać na dół. Ale czy COT dałoby im zielone światło? Może nie, gdyby nie wiedzieli, co się dzieje, a skąd mieliby to wiedzieć? Nawet Web nie wiedział, co tu się, do cholery, dzieje, a on był w samym środku tego wszystkiego. Jednak nie mógł beczynnie czekać, aż COT podejmie decyzję, bo wcześniej jakaś zabłąkana kula mogła dokończyć dzieła.

Czuł, jak warstewka panicznego strachu osiada na nim mimo wieloletniego szkolenia, które miało usunąć tę właśnie słabość z jego psychiki. Działanie, musiał coś zrobić. Zgubił mikrofon, więc wyciągnął swoją przenośną Motorolę z przypiętej rzepami kieszeni na barku. Nacisnął guzik, wrzasnął do niej: „HR czternaście do COT! HR czternaście do COT!”. Brak reakcji. Przeszedł na częstotliwość zapasową, a potem na jedynekę do celów ogólnych. Nadał nic. Popatrzył na krótkofalówkę i humor mu się pogorszył. Przód był rozbity, bo wcześniej na nią upadł. Web popęzł przed siebie, aż dotarł do ciała Cala Plummera. Kiedy próbował chwycić jego dwukierunkową radiostację, coś uderzyło go w rękę i cofnął ją. Tylko rykoszet; bezpośrednie trafienie pozbawiłoby go dłoni. Web policzył, że wciąż ma pięć palców, a dotkliwy ból sprawił, że chciał walczyć, żyć, nawet gdyby dalsze życie miało na celu wyłącznie zniszczenie tego, kto to zrobił. Prawie już jednak wyczerpał dostępne środki. I po raz pierwszy w swojej karierze Web zaczął się zastanawiać, czy wróg, z którym przyszło mu się zmierzyć, nie jest lepszy od niego.

Wiedział, że gdyby przestał myśleć, może wreszcie zerwałby się i zaczął strzelać, choć nie znalazłby niczego, co można by było zabić.

A więc skupił się na scenariuszu taktycznym. Był w dokładnie określonej strefie śmierci, z dwóch stron miał łuki automatycznie strzelających karabinów. Tworzyły one dziewięćdziesięciostopniowy kąt zagłady i nie obsługiwał ich żaden człowiek, którego można by powstrzymać. W porządku, taka była sytuacja na polu walki. Ale co, do diabła, on miał teraz zrobić? Który to był rozdział w podręczniku? Ten, w którym napisano: „Wycyckali cię”? Boże, ten huk był ogłuszający. Nie słyszał nawet łomotu własnego serca. Z trudem chwycił krótkie hausty powietrza. Gdzie, do diabła, byli Whisky i Rentgen? A Hotel? Nie mogli biec szybciej? Ale co tak naprawdę mogli zrobić? Byli wyszkoleni jedynie w likwidowaniu ludzi z daleka i z bliska.

- Nie ma do czego strzelać! - krzyknął Web.

Wcisnął mocno podbródek w pierś, a po chwili drgnął zaskoczony, zobaczywszy małego chłopca, tego bez koszuli. Dzieciak kucał, przyciskając rękami uszy, w uliczce, którą przybiegła Grupa Charlie, tuż za rogiem. Web wiedział, że gdyby chłopiec wyszedł na podwórko, jego ciało trafiłoby do worka na zwłoki - prawdopodobnie do dwóch worków, bo pociski kalibru .50 mogłyby z łatwością przeciąć chude ciało dzieciaka na pół.

Chłopiec zrobił krok do przodu, zbliżając się do końca muru, i znalazł się już prawie na podwórku. Może pragnął przyjść im z pomocą. A może czekał, aż kanonada ustanie, żeby móc obedrzeć ciało z cennych przedmiotów i zgarnąć broń, by później sprzedać ją na ulicy. Może był zwyczajnie ciekawy. Web nie wiedział tego ani go to nie interesowało.

Karabiny przestały strzelać i nagle zapadła cisza. Chłopiec zrobił kolejny krok naprzód. Web krzyknął do niego i dzieciak zastygł w bezruchu. Najwyraźniej nie przypuszczał, że umarli mogą się wydzierać. Web bardzo powoli uniósł dłoń i zawołał do niego, żeby się cofnął, ale wznowiony ogień zagłuszył końcowe słowa jego przestrogi. Web czołgał się na brzuchu pod gradem kul, wrzeszcząc do chłopca przy każdym skręcie i przeciągnięciu miednicy.

- Nie podchodź! Cofnij się!

Dzieciak nie uskoczył w tył. Web nie spuszczał z niego wzroku, co jest trudne, kiedy przesuwasz się na brzuchu, bojąc się, że jeśli podniesiesz głowę jeszcze o centymetr, to zostaniesz jej pozbawiony. Chłopiec w końcu zrobił to, czego oczekiwał Web: zaczął się wycofywać. Web poczołgał się szybciej. Dzieciak odwrócił się, chcąc uciec, i Web wrzasnął do niego, żeby się zatrzymał. Był bardzo zaskoczony, kiedy chłopak go posłuchał.

Web był już prawie u wylotu uliczki. Zamierzał się przygotować, bo zaistniało teraz nowe niebezpieczeństwo dla dziecka. Podczas ostatniej przerwy w ostrzale Web usłyszał dobiegający z daleka odgłos równych kroków i krzyki. Nadchodzili. Web pomyślał, że muszą tam być wszyscy: Hotel i snajperzy, i rezerwowa jednostka, którą COT zawsze zachowywał na sytuacje kryzysowe. Cóż, jeśli tego nie nazwano by sytuacją kryzysową, to co zasługiwałoby na takie określenie? Z pewnością pędzili na ratunek, a przynajmniej tak im się wydawało. W rzeczywistości jednak biegli na oślep, nie mając żadnych wiarygodnych informacji.

Problem polegał na tym, że dzieciak też słyszał, jak się zbliżają. Web widział, że chłopiec zdaje sobie sprawę, kim oni są, jak zwiadowca obwąchujący ziemię i ustalający na podstawie zapachów położenie wielkich stad bizonów. Chłopak czuł, że jest w potrzasku, i miał słuszość. Web wiedział, że gdyby dzieciaka z uliczki zobaczono w pobliżu ludzi takich jak Web, równałoby się to wyrokowi śmierci. Odpowiednie „władze” po prostu założyłyby, że jest zdrajcą, a jego ciało pozostawiono by w lasach.

Dzieciak zatrząsnął się nerwowo i popatrzył za siebie, a Web zaczął szybciej się czołgać. Zgubił połowę swojego sprzętu, gdy tak pełzał po spiesznie po szorstkim asfalcie jak dwustufuntowy rozpędzony wąż. Czuł, jak krew sączy się z tuzina zadraśnień na jego nogach, rękach i twarzy. Lewa dłoń piekła go tak, jakby kilka tysięcy os urządziło sobie tam przyjęcie. Pancierz był teraz cholernie ciężki, wszystko bolało go, kiedy przesuwiał ramiona i nogi. Mógł odłożyć karabin, ale wciąż znajdował dla niego zastosowanie. Nie, nigdy nie porzuci cholernego SR75.

Web wiedział, co robi dzieciak. Ponieważ miał odcięty odwrót, zdecyduje się przebiec przez podwórko, by potem zniknąć w jednym z budynków po drugiej stronie. Chłopiec słyszał kule podobnie jak Web, ale nie mógł zobaczyć linii strzału. Nie mógł ich ominąć. A jednak Web wiedział, że chłopiec zaraz spróbuje się przedrzeć.

Dzieciak wyskoczył, Web odbił się od ziemi w ostatniej możliwej sekundzie, tak że zderzyli się akurat na skraju bezpiecznego obszaru, i w tym starciu Weba nie można było pokonać. Dzieciak kopał go, kościste pięści tłukły Londona po twarzy i

piersi, kiedy otoczył ryzykanta swymi długimi ramionami. Wycofał się dalej w głąb uliczki, niosąc chłopca. Kevlar nie był przyjemny w dotyku dla młócących rąk, więc dzieciak w końcu przestał zadawać ciosy i popatrzył na Webę.

- Nic nie zrobiłem. Puść mnie!

- Jak tam pobiegiesz, to zginiesz! - wyjaśnił Web, przekrzykując strzały. Uniósł zakrwawioną dłoń. - Ja mam pancerz i nie mógłbym tam przeżyć. Te kule przecięłyby cię na pół.

Dzieciak uspokoił się po obejrzeniu rany. Web zaniósł go jeszcze dalej od podwórka i jazgoczących karabinów. Teraz przynajmniej mogli rozmawiać, nie wrzeszcząc. Pod wpływem jakiegoś dziwnego impulsu Web dotknął blizny od postrzału na policzku chłopca.

- Przedtem miałeś szczęście - zauważył. Chłopiec warknął i szarpnięciem wyrwał się z jego uścisku. Stał na nogach, jak fretka, zanim Web zdążył mrugnąć, i odwrócił się, żeby pójść z powrotem uliczką. - Jeśli wpadniesz na nich po ciemku - powiedział Web - szczęście cię opuści. Rozwalą cię.

Dzieciak przystanął i odwrócił się. Po raz pierwszy zdawał się naprawdę przyglądać Webowi. Potem wyjrzał zza niego i popatrzył w stronę podwórka.

- Oni umarli? - zapytał.

W odpowiedzi Web zsunął wielki karabin z ramienia. Chłopiec zrobił krok do tyłu na widok budzącej lęk broni.

- Cholera, proszę pana, co pan chce zrobić?

- Zostań tu i kucz - nakazał Web. Obrócił się w stronę podwórka. Teraz wszędzie słychać było syreny. Nadjeżdżała kawaleria, jak zwykle za późno. Najmądrzej byłoby nic nie robić. A jednak po prostu wymagano od niego więcej. Web musiał dokończyć robotę. Wyrwał kartkę z notatnika przyczepionego do paska i nabazgrał szybko wiadomość. Potem ściągnął czapkę, którą nosił pod hełmem. - Masz to - powiedział do dzieciaka. - Idź z powrotem uliczką, ale nie biegnij. Trzymaj w górze czapkę i daj kartkę ludziom, którzy idą w tę stronę. - Chłopiec wziął to od niego, jego długie palce zacisnęły się na czapce i złożonej kartce. Web wyciągnął raketnicę z kieszeni i umieścił w niej racę. - Kiedy strzelę, ruszaj. Idź, nie biegnij - przypomniał Web.

Chłopiec popatrzył na notatkę. Web nie miał pojęcia, czy w ogóle potrafił czytać. W tej okolicy nie należało zakładać, że dzieci zdobywają podstawy wykształcenia, które gdzie indziej uznawano za oczywistość.

- Jak masz na imię? - zapytał Web. Chłopiec powinien być teraz spokojny. Zdenerwowani ludzie popełniają błędy. A Web wiedział, że nadchodzący mężczyźni spaliliby na popiół każdego, kto gwałtownie rzuciłby się ku nim z naprzeciwka.

- Kevin - odpowiedział chłopiec. Gdy wymówił swoje imię, nagle zaczął wyglądać jak przestraszony mały dzieciak, którym był w istocie, i Web poczuł się jeszcze bardziej winny z powodu tego, o co prosił chłopca.

- W porządku, Kevin, ja jestem Web. Zrób, co mówię, to nic ci się nie stanie. Możesz mi zaufać - powiedział. Jego poczucie winy znów wzrosło. Wycelował z

rakietnicy w niebo, popatrzył na Kevina, skinął głową, żeby dodać mu odwagi, a potem wystrzelił. Raca miała być dla nich pierwszym ostrzeżeniem, a notatka zanesiona przez Kevina drugim. Chłopiec oddalił się. Szedł, ale zbyt szybko. – Nie biegnij! – wrzasnął Web. Odwrócił się w stronę podwórka, a potem nasunął termolokator na szynę Picatinny karabinu i zamocował go.

Czerwona rakietka zakrwawiła niebo i w wyobraźni Web zobaczył, jak szturmowcy i snajperzy zatrzymują się i zastanawiają nad tym. To dałoby chłopcu czas, żeby do nich dotrzeć. Kevin nie powinien umrzeć, przynajmniej nie tego wieczoru. Kiedy nastąpiła kolejna przerwa w ostrzale, Web wypadł z uliczki, rzucił się na ziemię, przetoczył na plecach, uniósł karabin, przyjmując pozycję strzelecką na brzuchu, i rozstawił dwójnog broni, po czym starannie przycisnął kolbę do barku. Trzy okna znajdujące się na wprost niego stanowiły jego pierwsze cele. Bez większego trudu dostrzegał gołym okiem płomienie wylotowe, ale termolokator pozwolił mu namierzyć rozgrzane karabiny maszynowe. To w nie chciał trafić. SR75 zagrzmiał i gniazda ogniowe eksplodowały jedno po drugim. Web załadował następny magazynek z dwudziestoma nabojami, wycelował, nacisnął spust i jeszcze cztery karabiny zostały wreszcie uciszone. Ostatnie gniazdo wciąż strzelało, Web poczołgał się do przodu i rzucił w nie granat wstrząsowy. I wtedy zapanowała cisza, dopóki Web nie zaczął wystrzeliwać całej amunicji ze swoich czterdziestek piątek w ciche teraz otwory okienne. Odrzucone łuski wysypywały się z pistoletów jak spadochroniarze z wnętrza samolotu. Po ostatnim strzale Web zgiął się wpół i wciągał cenne powietrze. Było mu tak gorąco, że aż obawiał się samozapłonu. Wtedy chmury się rozwarły i spadł ulewny deszcz. Spojrzał za siebie i zobaczył okrytego pancerzem szturmowca, który ostrożnie wkraczał na podwórko. Web spróbował pomachać do niego, ale ręka odmówiła mu posłuszeństwa – zwiślała bezwładnie wzdłuż tułowia.

Obejrzał poszarpane ciała członków swojej grupy, swoich przyjaciół, które zasłały lśniący wilgocią asfalt. Potem opadł na kolana. Żył, ale tak naprawdę wolałby umrzeć. Ostatnią rzeczą, jaką Web London zapamiętał z tamtej nocy, był widok kropli własnego potu wpadających do kałuż zabarwionych krwią.

Randall Cove był wielkim, ogromnie silnym facetem obdarzonym nadzwyczajnymi ulicznymi instynktami, które jeszcze wyostrzyły lata posługiwania się nimi. Pracował jako tajny agent FBI od prawie siedemnastu lat. Infiltrował już latynoskie gangi narkotykowe w Los Angeles, meksykańskie grupy na granicy w Teksasie i Europejczyków z pierwszej ligi w południowej Florydzie. Jego misje były w większości zadziwiająco udane, choć czasami pełne napięcia. Obecnie podstawę uzbrojenia Cove'a stanowił półautomat kalibru .40 załadowany nabojami z wklęsłymi czubkami, które po wbiciu się w ludzkie ciało zapadały się i zmieniały w małe naleśniki, siejąc spustoszenie w narządach wewnętrznych i z reguły powodując śmierć. Miał jeszcze w pochwie nóż z ząbkowanym ostrzem i potrafił nim w mgnieniu oka przecinać najważniejsze tętnice. Zawsze szczycił się swoim profesjonalizmem i wiarygodnością. Teraz jednak pewni niedoinformowani ludzie byli gotowi potępić go jako podłego kryminalistę, który powinien zostać skazany na dożywotnie więzienie albo jeszcze lepiej stracony za swoje straszliwe grzechy. Cove wiedział, że ma poważne kłopoty, i rozumiał też, że tylko on sam może się z nich wyplątać.

Kulił się w samochodzie i patrzył, jak grupa mężczyzn wsiada do swoich wozów i odjeżdża. Gdy tylko go minęli, wyprostował się, poczekał trochę, a potem ruszył za nimi. Naciągnął mocniej narciarską czapkę na świeżo ostrzyżoną głowę. Pozbył się dredów, stwierdziwszy, że i tak są już w beznadziejnym stanie. Samochody zatrzymały się i Cove też to zrobił. Kiedy zobaczył, że mężczyźni wysiadają, wyciągnął z plecaka aparat i napstrykał zdjęć. Odłożył Nikona, wyjął lornetkę noktowizyjną i nastawił ją na odpowiednią odległość. Kiwał głową, rozpoznając kolejnych mężczyzn.

Odetchnął głęboko i przypomniał sobie swoje dotychczasowe życie, podczas gdy obserwowana przez niego grupa zniknęła w budynku. Jako student college'u w Oklahomie był większą, szybszą wersją Waltera Paytona, powszechnie uważano go za najlepszego zawodnika w Stanach. Wszystkie kluby z NFL zarzucały go propozycjami obejmującymi góry pieniędzy i różne dodatkowe korzyści. To znaczy działało się tak, dopóki nie zerwał przednich wiązadeł krzyżowych w obu kolanach na skutek nieszczęśliwego upadku podczas obozu dla młodych talentów, co zmieniło go z nadcłowieka z gwarantowaną błyskotliwą karierą w mężczyznę o całkiem przeciętnych umiejętnościach, który już nie wzbudzał zainteresowania trenerów z NFL. Potencjalne miliony dolarów natychmiast przepadły, a wraz z nimi jedyny sposób życia, jaki znał. Dryfował ponuro parę lat, próbując się usprawiedliwić i szukając współczucia, i staczał się coraz niżej, aż nic mu nie zostało. I wtedy ją znalazł. Zawsze uważał swoją żonę za znak Boskiej interwencji, skoro ocalała przed

zapomnieniem takiego żalostnego, rozczulającego się nad sobą żywego trupa. Z jej pomocą wziął się w garść i spełnił ukryte marzenie o zostaniu prawdziwym federalnym.

Robił rozmaite rzeczy w Biurze. Były to czasy, kiedy możliwości dostępne dla czarnoskórych mężczyzn wciąż jeszcze były poważnie ograniczone. Zaczęto go nakłaniać do pracy w charakterze tajniaka do spraw narkotykowych. Przełożeni bez ogródek poinformowali Cove'a, że większość „złych facetów” to ludzie o takim samym jak jego kolorze skóry. Mówili: „Umiesz chodzić jak trzeba i mówić jak trzeba, twój wygląd też pasuje do tej roli”. I tak naprawdę nie mógł temu zaprzeczyć. Praca była na tyle niebezpieczna, że nigdy się nie nudził. A Randall Cove nie potrafił znieść uczucia nudy. I posyłał do więzienia więcej typków w ciągu miesiąca niż przeciętny agent przez całe swoje życie zawodowe, i były to grube ryby, organizatorzy, ci, co naprawdę robili forszę, nie jacyś drobni handlarze z ulicy, których jeden niefortunny niuch dzielił od grobu dla nędzarzy. Mieli z żoną dwoje pięknych dzieci i Cove powoli zaczynał myśleć o emeryturze i zakończeniu kariery, kiedy nagle jego świat się rozpadł i nie miał już żony ani dzieci.

Ocknął się z zamyślenia, kiedy mężczyźni wyszli, wsiedli do samochodów i odjechali. Cove znów podążył za nimi. Stracił jeszcze coś, czego już nigdy nie odzyska. Sześciu ludzi zginęło dlatego, że spała robotę, że dał się wykiwać jak zupełny żółtodziób. Urażono jego dumę i wrzał gniewem. A siódmy członek tej rozbitej drużyny mocno intrygował Cove'a. Mężczyzna przeżył, choć też powinien być martwy, i najwyraźniej nikt nie wiedział, dlaczego tak się stało, ale gra dopiero się rozpoczynała. Cove chciał popatrzeć temu mężczyźnie w oczy i zapytać: „Dlaczego jeszcze oddychasz?”. Nie dysponował teczką Weba Londona i nie wyglądało na to, żeby miał ją wkrótce dostać. Tak, Cove był w FBI, ale – taak – bez wątpienia wszyscy myśleli, że zdradził. Tajni agenci musieli balansować na tej granicy, prawda? Podobno wszyscy byli stuknięci, zgadza się? Taką niewdzięczną pracę wykonywał już przez tyle lat. Nie przeszkadzało mu to jednak, bo wykonywał ją dla siebie i dla nikogo innego.

Samochody wróciły na długi podjazd, Cove zatrzymał się, zrobił jeszcze trochę zdjęć, a potem zawrócił. Najwidoczniej to było wszystko na ten wieczór. Ruszył z powrotem do jedyne go miejsca, w którym mógł się teraz czuć bezpiecznie, i nie był to jego dom. Na jednym z zakrętów, gdy przyspieszał, nie wiadomo skąd pojawiły się z tyłu dwa reflektory i już go nie odstępowały. To nie było dobre, nie na takiej drodze. Zainteresowanie ze strony bliźnich nie było czymś, czego Cove kiedykolwiek pragnął i do czego by zachęcał. Skreślił. To samo zrobił tamten samochód. W porządku, to była poważna sprawa. Znów przyspieszył. To samo zrobił jego ogon. Cove sięgnął do kabury przy pasie, wyjął pistolet i uważnie go odbezpieczył.

Spojrzał we wsteczne lustro, żeby sprawdzić, czy uda mu się ocenić, z iloma facetami ma do czynienia. Było jednak za ciemno, tego odcinka drogi nie oświetlały żadne latarnie. Pierwsza kula przebiła prawą tylną oponę jego wozu, a druga lewą. Gdy walczył o zachowanie panowania nad kierownicą, jakaś ciężarówka wyjechała z bocznej drogi i uderzyła w bok jego samochodu. Gdyby okno po lewej stronie było

zamknięte, głowa Cove'a przebiłaby szybę. Choć to nie była zima, ciężarówka miała z przodu zamontowany pług śnieżny. Zwiększyła prędkość i popchnęła samochód Cove'a. Czuł, że wóz zaraz przewróci się na dach, i wtedy ciężarówka wyrzuciła jego dwudrzwiowego sedana za barierę przy drodze, która została tam umieszczona głównie po to, żeby chronić pojazdy przed runięciem ze stromej skarpy, którą droga okrążała łukiem. Samochód trzasnął bokiem w ziemię, a potem się poturlał, drzwi z obu stron otworzyły się szeroko. Sedan dalej koziółkował, aż w końcu poobijana kupa żelastwa opadła na skały u podnóża zbocza i zapaliła się.

Samochód, który śledził Cove'a, zatrzymał się. Wysiadł z niego mężczyzna. Podbiegł do wygiętej bariery i popatrzył w dół. Zobaczył ogień, przyglądał się wybuchowi, który nastąpił, kiedy opary paliwa zetknęły się z płomieniami, a potem popędził z powrotem do swojego wozu. Odjeżdżając, dwa pojazdy wzbily ziarenka żwiru.

Randall Cove odczekał chwilę i wstał wolno w miejscu, gdzie został wyrzucony, kiedy drzwi od strony kierowcy prawie odbiły się o maskę na skutek pierwszego uderzenia o ziemię. Stracił pistolet i miał uczucie, że połamał kilka żeber, ale żył. Popatrzył w dół na to, co zostało z jego samochodu, a potem znów w górę, ale mężczyźni, którzy próbowali go zabić, byli już daleko. Cove stanął chwiejnie na nogach i powoli zaczął się wspinać po skarpie.

Web zdrową ręką ścisnął zranioną dłoń, głowa mu pękała, jakby szybko wypił trzy szklanki czystej tequili i miał ją zaraz wymiotować. Sala szpitalna była pusta. Na zewnątrz stał uzbrojony człowiek, który miał pilnować, żeby nic nie przydarzyło się Webowi – w każdym razie nic innego. Web leżał tutaj cały dzień i przez część wieczoru, myśląc o tym, co się stało, i wcale nie był bliżej jakichkolwiek odpowiedzi niż wtedy, gdy go tu przywieźli. Odwiedził go już dowódca razem z kilkoma członkami Grupy Hotel i paroma snajperami z Whisky i Rentgena. Mówili niewiele, bo wszyscy byli wstrząśnięci i pogrążeni w bólu. Nie wierzyli, że coś takiego mogło im się przytrafić. W ich oczach Web widział podejrzenia dotyczące tego, co się z nim tam stało.

- Przykro mi, Debbie – powiedział Web do powstałego w jego umyśle obrazu wdowy po Teddym Rinerze. Powiedział to samo do Cynde Plummer, żony Cala, teraz także wdowy. Jechał dalej w dół listy: razem sześć kobiet, i wszystkie były jego przyjaciółkami. Ich mężowie byli jego partnerami, towarzyszami; Web odczuwał ich brak tak samo boleśnie jak czuły to ich żony.

Puścił zranioną rękę i dotknął nią metalowej ramy łóżka. Co za przykrą ranę stamtąd wyniósł. Nie trafił go bezpośrednio ani jeden nabój.

- Nawet raz nie strzeliłem, kiedy było trzeba, do cholery – powiedział do ściany.  
- Nawet raz! Czy zdajesz sobie sprawę, jakie to niewiarygodne? – zawołał do kroplówki, po czym zamilkł.

- Dostaniemy ich, Web.

Ten głos przestraszył Webę, bo nie słyszał, żeby ktoś wchodził do pokoju. Uniósł się z trudem na łóżku, aż zobaczył zarys ludzkiej postaci. Percy Bates usiadł na

krześle obok Weba. Mężczyzna przyglądał się badawczo linoleum, jakby to była mapa, która miała zaprowadzić go do miejsca, w którym znajdowały się wszystkie odpowiedzi.

Mówiono, że Percy Bates ani trochę się nie zmienił przez dwadzieścia pięć lat. Waga tego szczupłego mężczyzny o stu siedemdziesięciu ośmiu centymetrach wzrostu nie zwiększyła się ani nie zmalała nawet o pół kilograma. Miał ciemne włosy bez najmniejszego śladu siwizny, zaczesane w taki sam sposób jak wtedy, gdy pierwszy raz wszedł do FBI wkrótce po ukończeniu Akademii. Wydawał się zahibernowany, było to niezwykle w branży, w której ludzie zwykle przedwcześnie się starzeli. Stał się swego rodzaju legendą w Biurze. Siał zniszczenie wśród handlarzy narkotyków na granicy Teksasu z Meksykiem, a później w Biurze Regionalnym w Los Angeles stworzył piekło na ziemi kryminalistom z Zachodniego Wybrzeża. Szybko awansował i był obecnie jednym z najwyższymi postawionych ludzi w Biurze Regionalnym w Waszyngtonie, zwanym WFO<sup>1</sup>. Miał doświadczenie we wszystkich głównych dziedzinach działalności Biura i był człowiekiem, który wiedział, jak dopasowywać do siebie wszystkie fragmenty układanki.

Bates, do którego zwracano się Perce, zwykle mówił łagodnym głosem. A jednak potrafił spiorunować podwładnego spojrzeniem, po którym ten czuł, że nie zasługuje na zajmowanie choćby dziesiątej części metra kwadratowego przestrzeni. Potrafił być najlepszym sprzymierzeńcem albo najgorszym wrogiem. Może tak się kończyło dla człowieka dorastanie z imieniem typu Percy.

Web był przedmiotem niektórych klasycznych tyrad Batesa, kiedy jeszcze pracował pod jego bezpośrednimi rozkazami na wcześniejszym etapie swojej kariery zawodowej w Biurze. Zasłużył na sporo z tych zniewag, bo popełniał błędy, gdy uczył się, jak być dobrym agentem. Bates wybierał sobie od czasu do czasu ulubieńców i, podobnie jak wszyscy, niekiedy szukał kozłów ofiarnych, na których mógł zwalić winę, kiedy wszystko się popieprzyło. Web nie przyjął więc teraz jego wypowiedzi bezkrytycznie. Nie uznał też przyciszonego tonu za oznakę pokojowych zamiarów i dobrej woli. A jednak tej nocy, kiedy Web stracił połowę twarzy w wirze walki, Bates jako jeden z pierwszych pojawił się przy jego łóżku i Web nigdy o tym nie zapomniał. Nie, Percy Bates nie był prostym przypadkiem, jak zresztą żaden z nich. On i Bates nigdy nie zostali serdecznymi przyjaciółmi, ale Web nie uważał, że trzeba pić drinki z facetem, żeby go szanować.

- Wiem, że podałeś nam wstępne informacje, ale będziemy potrzebować twojego szczegółowego raportu, gdy tylko będziesz mógł go złożyć - powiedział Bates. - Ale nie spiesz się. Poleż spokojnie, odzyskaj siły.

Przesłanie było jasne. To, co się zdarzyło, zdruzgotało ich wszystkich. Nie będzie żadnych wybuchów Batesa. Przynajmniej nie teraz.

- Więcej zadrąśnieć niż czegoś poważniejszego - wymamrotał w odpowiedzi Web.

- Mówili o ranie od kuli na twojej dłoni. Skaleczenia i siniaki na całym ciele. Lekarze powiedzieli, że wygląda to tak, jakby ktoś obił cię kijem baseballowym.



- Nic wielkiego - zapewnił Web i poczuł, że ta wypowiedź skrajnie go wyczerpała.

- I tak musisz odpocząć. A potem przyjmujemy twój raport. - Bates wstał. - I jeśli dasz radę, a wiem, że to będzie trudne, pomógłbyś nam, gdybyś zechciał tam wrócić i wyjaśnić nam, co dokładnie się zdarzyło.

„I jak zdołałem przeżyć?” - pomyślał Web. Skinął głową.

- Będę gotowy już niedługo.

- Nie spiesz się - powtórzył Bates. - To na pewno nie będzie łatwe. Ale zrobimy to. - Klepnął go po ramieniu i odwrócił się w stronę drzwi.

Web poruszył się, próbując usiąść.

- Perce? - W ciemnościach widać było tylko białka oczu Batesa. Webowi wydawało się, że to dwie wiszące w powietrzu kości do gry jakimś sposobem ukazujące dwójki. - Wszyscy zginęli, prawda?

- Wszyscy - potwierdził Bates. - Tylko ty zostałeś, Web.

- Zrobiłem, co mogłem.

Drzwi się otworzyły, a potem zamknęły i Web został sam.

Po wyjściu na korytarz Bates naradzał się z grupą mężczyzn ubranych dokładnie tak jak on: nierzucające się w oczy niebieskie garnitury, koszule, stonowane krawaty, czarne buty na gumowej podeszwie, a u pasa wielkie pistolety w małych kaburach.

- To będzie medialny koszmar, wiesz o tym - powiedział jeden z nich. - Właściwie już się zaczęło.

Bates włożył do ust listek gumy, namiastkę winstonów, które rzucił już po raz piąty, ale zapewne nie ostatni.

- Potrzeby zafajdanych dziennikarzy nie znajdują się wysoko na mojej liście priorytetów - stwierdził.

- Musisz ich stale informować, Perce. Jeśli tego nie zrobisz, przyjmą najgorszą wersję i zaczną coś z niej pichcić. Nie uwierzysz, jakie materiały pojawiły się już w Internecie, że ta masakra jest powiązana z apokaliptycznym powrotem Jezusa albo że ma coś wspólnego ze spiskiem chińskich handlarzy. Skąd oni biorą to gówno? Ludzie od kontaktów z mediami dostają szału.

- Nie wierzę, że ktoś miałby dość odwagi, żeby nam to zrobić - odezwał się inny mężczyzna, siwy i pulchny po długiej służbie dla swojego kraju. Bates wiedział, że akurat ten agent nie widział nic poza blatem swojego biurka od ponad dziesięciu lat, ale lubił zachowywać się tak, jakby było inaczej. - Ani Kolumbijczycy, ani Chińczycy, ani nawet Rosjanie nie mieliby dość odwagi, żeby zaatakować nas w ten sposób.

Bates spojrzał na niego.

- To jest walka „nas” z „nimi”. Pamiętaj, że próbujemy dobrać im się do tyłków

przez cały czas. Myślisz, że oni nie chcą się nam odwzajemnić?

- Ale, mój Boże, Perce, pomyśl o tym. Właśnie wymordowali oddział naszych ludzi. Na naszym terenie - oburzał się starszy facet.

Perce popatrzył na niego i zobaczył słonia bez kłów, który już wkrótce upadnie, umrze i stanie się obiadem dla mięsożerców z dżungli.

- Nie miałem pojęcia, że rościmy sobie prawo do tamtej części Dystryktu Columbia - odparł. Po raz ostatni spał dwa dni wcześniej i zaczynał teraz naprawdę to odczuwać. - Właściwie miałem wrażenie, że to oni są tam gospodarzami, a my przyjezdną ekipą.

- Wiesz, o co mi chodzi. Co mogło spowodować tego rodzaju atak?

- Kurczę, nie wiem, może zrobili to dlatego, że z takim cholernym uporem próbujemy wyciągnąć wtyczkę ich rurociągu z narkotykami przynoszącego miliard dolarów dziennie i zaczyna ich to naprawdę wkurzać, ty idioto! - Mówiąc to, zmusił mężczyznę do wycofania się w kąt korytarza, a potem uznał, że agent jest niezbyt szkodliwy i nie warto go zawieszać.

- Jak on się czuje? - zapytał inny mężczyzna, zagrypiony blondyn z czerwonym nosem.

Bates oparł się o ścianę, pożuł gumę, a potem wzruszył ramionami.

- Myślę, że najgorzej jest z jego głową. Ale tego można się było spodziewać.

- Szczęściarz, tyle tylko mogę powiedzieć - skomentował czerwono nosy. - Można tylko zgadywać, jak przeżył.

Nie trzeba było długo czekać, żeby Bates wydarł się na faceta. Najwyraźniej tego wieczoru nie brał jeńców.

- Nazywasz to szczęściem, kiedy ktoś patrzy, jak sześciu ludzi z jego grupy zmienia się na jego oczach w krwawą miazgę? Czy to chcesz powiedzieć, do diabła, ty tępy sukinsynu?

- Jezuu, nie o to mi chodziło, Perce. Wiesz, że nie o to. - Czerwono nosy kaszlnął donośnie, jakby chciał pokazać Batesowi, że jest chory i nie ma ochoty się spierać.

Bates odsunął się od blondyna, całkowicie zniechęcony do nich wszystkich.

- Na razie nic nie wiem. Nie, cofam to. Wiem, że Web sam jeden zlikwidował osiem gniazd karabinów maszynowych, a także uratował następną oddział i jakiegoś dzieciaka z getta. To już wiem.

- Według wstępnego raportu Web stanął w miejscu. - Te słowa wypowiedział mężczyzna, który właśnie przyłączył się do dyskutantów; wyraźnie był ważniejszy od nich wszystkich. Dwóch dżentelmenów z kamiennymi twarzami szło za nim gęsiego. - I tak naprawdę, Perce, wiemy tylko to, co powiedział nam Web - dodał.

Chociaż niewątpliwie był wyższy rangą od Percy'ego Batesa, widać było, że Bates chętnie by odszczeknął, a jednak zabrakło mu śmiałości.

- London będzie musiał cholernie dużo wyjaśnić - ciągnął mężczyzna. - I zaczynamy to dochodzenie, mając szeroko otwarte oczy, o wiele szerzej niż dzisiaj w nocy. Dzisiejsza noc była hańbą. Dzisiejsza noc nigdy, ale to nigdy się nie

powtórzy. Nie pod moim nadzorem. - Popatrzył surowo na Batesa, a potem dodał sarkastycznie: - Przekaż Londonowi najlepsze pozdrowienia ode mnie.

Po chwili Buck Winters, szef Biura Regionalnego FBI w Waszyngtonie, odszedł dumnym krokiem, a za nim podążyli jego dwaj ochroniarze podobni do robotów.

Bates spoglądał z odrazą na plecy mężczyzny. Buck Winters był jednym z głównych dowódców akcji na linii frontu w Waco i zdaniem Batesa przyczynił się do końcowej rzezi z powodu swej nieudolności. Potem w zabawny sposób, typowy dla wielkich organizacji, Winters otrzymywał awans po awansie za swoją niekompetencję, aż dotarł na szczyt WFO. Może Biuro po prostu nie chciało przyznać, że spartaczyło sprawę, i uważało awansowanie ludzi, którzy należeli do dowództwa podczas fiaska w Waco, za skuteczny sposób pokazania światu, że Biuro w ogóle nie poczuwa się do winy. Wprawdzie wiele głów poleciało z powodu spłonięcia Davida Koresha w Teksasie, ale głowa Bucka Wintersa wciąż mocno trzymała się jego karku. W oczach Percy'ego Batesa Buck Winters uosabiał sporą część ciemnych stron FBI.

Bates znów oparł się o ścianę, skrzyżował ramiona na piersiach i żuł swoją gumę wrigley's tak intensywnie, że bolały go zęby. Był pewien, że kochany Buck popędzi na naradę z dyrektorem FBI, prokuratorem generalnym, a prawdopodobnie nawet z prezydentem. Cóż, niech sobie rozmawia, dopóki wszyscy oni nie będą wchodzić w drogę Percy'emu Batesowi.

Mężczyźni rozeszli się bezszelestnie, pojedynczo bądź w parach, aż pozostali tylko Bates i umundurowany strażnik. W końcu Bates też ruszył do wyjścia, z rękami w kieszeniach, wbijając wzrok w jakiś nieokreślony punkt. Po drodze wypłuł gumę do kosza na śmieci.

- Dupki i idioci - powiedział. - Dupki i idioci.

Web, ubrany w niebieską szpitalną piżamę, niósł torbę ze swoimi rzeczami osobistymi i wpatrywał się w rozświetlone słońcem niebo, które wypełniało okno jego sali. Drażniły go warstwy gazy, którymi owinięto mu zranioną dłoń; czuł się tak, jakby nosił rękawicę bokserską.

Miał już otworzyć drzwi, żeby wyjść, kiedy same się uchyliły. Przynajmniej tak mu się wydawało, dopóki nie pokazał się w nich mężczyzna.

- Co tutaj robisz, Romano? - zapytał Web ze zdziwieniem.

Mężczyzna nie zareagował od razu. Miał trochę ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, ważył około osiemdziesięciu kilo, a stalowe mięśnie nadawały mu bardzo potężny wygląd. Miał ciemne faliste włosy, włożył starą skózaną kurtkę, czapkę baseballową Jankesów i dżinsy. Jego odznaka FBI była przypięta do paska, podobnie jak kabura, z której wystawała rękojeść pistoletu.

Romano obejrzał Weba od stóp do głów, aż wreszcie jego spojrzenie zatrzymało się na obandażowanej dłoni Londona. Wskazał ją.

- Czy to jest to? Czy to jest twoja cholerna rana?

Web popatrzył na swoją dłoń, a potem na Romana.

- Byłbyś szczęśliwszy, gdybym miał dziurę w głowie?

Paul Romano, szturmowiec przydzielony do Grupy Hotel, budził jeszcze większy strach niż podobni faceci z jego otoczenia, poza tym zawsze wiedział, co o tobie myśli. Zwykle nic dobrego. Web nigdy nie nawiązał z nim bliższych stosunków głównie dlatego, jak sądził, że został postrzelony więcej razy niż tamten, a Romano nie mógł ścierpieć, że Web może wydawać się bardziej bohaterski czy twardy.

- Zapytam cię o to tylko raz, Web, i chcę jasnej odpowiedzi, człowieku. Jak będziesz mi wciskał kit, to sam cię wykończę.

Web popatrzył na niego z góry i podszedł trochę bliżej, tak że zdawał się jeszcze bardziej górować nad nim wzrostem. Wiedział, że to też wkurzało Romano.

- Jezu, Paulie, przyniosłeś mi też jakieś słodczyce i kwiaty?

- Po prostu powiedz mi to otwarcie, Web... - przerwał Romano, a potem zapytał: - Stchórzyłeś?

- Taak, Paulie, te karabiny jakimś sposobem porozwalały się nawzajem.

- Wiem o tym. Ale co się stało wcześniej? Kiedy wszystkich z Grupy Charlie wybito. Nie było cię z nimi. Dlaczego?

Web poczuł, że oblewa go fala gorąca, i nienawidził siebie za to. Przytyki

Romano zwykle go nie wzruszały. A jednak prawda była taka, że nie umiał mu odpowiedzieć.

- Coś się stało, Paulie, w mojej głowie. Nie wiem dokładnie co. Ale nie miałem nic wspólnego z zasadzką, gdybyś nagle stracił rozum i pomyślał coś takiego.

Romano pokręcił głową.

- Nie myślałem, że zdradziłeś, Web, tylko że stałeś się mięczakiem.

- Jeśli to wszystko, co chciałeś mi powiedzieć, to możesz iść stąd w cholerę.

Romano znów zmierzył go wzrokiem i po każdym takim piorunującym spojrzeniu Web w coraz mniejszym stopniu czuł się mężczyzną. Romano odwrócił się bez słowa i wyszedł. Web wolałby, żeby odwrócił się na pięcie po kolejnej zniewadze, a nie w ciszy.

Odczekał kilka minut, a potem otworzył drzwi.

- Dlaczego pan wstał? - zapytał zdziwiony wartownik.

- Lekarze mnie wypisali, nie powiedzieli panu?

- Nikt mi nic takiego nie mówił.

Web podniósł obandażowaną dłoń.

- Rząd nie zapłaci za następną noc z powodu zadraśniętej dłoni. A ja ani myślę dokładać różnicę z mojej wypłaty.

Web nie znał tego ochroniarza, ale wyglądał on na człowieka gotowego wykazać zrozumienie dla takich zdroworozsądkowych argumentów. Web nie czekał na odpowiedź, tylko po prostu odszedł. Wiedział, że nie można go na żadnej podstawie zatrzymać. Wartownik musiał tylko powiadomić o tym wydarzeniu swoich przełożonych i z pewnością właśnie to robił.

Web wyszedł chyłkiem bocznymi drzwiami, znalazł telefon, zadzwonił do kumpla i po godzinie był już w swoim dwupoziomowym trzydziestoletnim domu farmerskim na cichym przedmieściu Woodbridge w Wirginii. Przebrał się w dzinsy, mokasyny i granatową bawełnianą bluzę, zerwał gazę i zastąpił ją pojedynczym plastrem, co miało jaskrawą wymowę symboliczną. Nie chciał od nikogo współczucia, nie teraz, kiedy sześciu jego najbliższych przyjaciół leżało w kostnicy.

Sprawdził wiadomości na sekretarce. Nie było niczego ważnego, wiedział jednak, że to się zmieni. Otworzył kluczem jedną ze skrzynek na broń, wyjął z niej swojego zapasowego dziewięćmilimetrowca i wepchnął go do kabury przy pasie. Chociaż nikogo nie zastrzelił, i tak całą sprawę badała teraz SRB<sup>2</sup> - Komisja Nadzoru nad Używaniem Broni Palnej - ponieważ Web zdecydowanie użył swojego sprzętu. Skonfiskowali jego karabin i pistolety, miał wrażenie, że pozbawili go rąk. Potem poinformowali go o jego prawach i złożył im raport. Wszystko to było standardową procedurą regulowaną przepisami, a jednak i tak poczuł się jak przestępca. Cóż, nie miał zamiaru chodzić bez giwery. Był z natury paranoikiem, a masakra jego grupy zrobiła z niego chodzącego samopas psychotyka, zdolnego do traktowania niemowląt i króliczków jako prawdziwych zagrożeń.

Poszedł do garażu, zapalił swojego czarnego jak węgiel forda mach jeden z 1978 roku i wyjechał na ulicę.

Web miał dwa pojazdy: macha oraz stareńkiego suburba, który woził jego i resztę Grupy Charlie na wiele meczów futbolowych Czerwonoskórych, na plaże Wirginii i Marylandu, na wycieczki, podczas których głównie pito piwo, i na rozmaite inne męskie wyprawy wzdłuż całego Wschodniego Wybrzeża. Każdy z kumpli Weba miał w suburbanie własne miejsce, wyznaczone na podstawie stażu i umiejętności, bo w taki sposób rozdzielano wszystko tam, gdzie pracował Web. Jakie wspaniałe chwile przeżyli w tej wielkiej maszynie! Teraz Web się zastanawiał, ile uda mu się dostać za suburba, bo nie widział już siebie za kierownicą tej bestii.

Wskoczył na międzystanową 95, obrał kierunek na północ i przebrnął przez tor przeszkód, jakim był Węzeł Springfield, najwyraźniej zaprojektowany przez inżyniera uzależnionego od kokainy. Teraz przeprowadzano tam generalny remont, który miał trwać przynajmniej dziesięć lat, więc kierowca, który przebywał to skrzyżowanie codziennie, mógł tylko śmiać się albo płakać, gdy uciekały mu miesiące życia, a samochody przesuwają się co pewien czas o parę centymetrów. Web przemknął po moście na Czternastej Ulicy, przeciął północnozachodnią część miasta, gdzie znajdowały się wszystkie najważniejsze zabytki wraz z dolarami turystów i szybko zagłębił się w mniej przyjemne dzielnice Waszyngtonu.

Web był specjalnym agentem FBI, ale wcale tak o sobie nie myślał. Przede wszystkim był członkiem HRT<sup>2</sup>, oddziału wyszkolonego w odbijaniu zakładników, elitarnej grupy szybkiego reagowania Biura. Nie nosił garniturów. Nie spędzał zbyt wiele czasu z agentami spoza HRT. Nie przybywał na miejsce przestępstwa dopiero wtedy, gdy kule przestały już latać. Zwykle był tam od pierwszego momentu, aby biec, uchylać się, strzelać, ranić, a czasami zabijać. W grupie działało tylko pięćdziesięciu ludzi, ponieważ selekcja była bardzo ostra. Przeciętnie pracowało się w HRT pięć lat. Web przełamał ten zwyczaj i kończył już ósmy rok służby. Wydawało się, że są obecnie wzywani znacznie częściej i to do punktów zapalnych na całym świecie, a niepisane reguły HRT mówiły, że trzeba oderwać samolot od ziemi w bazie sił lotniczych Andrews po najwyżej czterech godzinach od wezwania. Cóż, on już odegrał swoją rolę w tym przedstawieniu. Został bez grupy.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że jako jedyny przeżyje akcję. Po prostu nie pasowało to do jego natury. Wszyscy żartowali na ten temat, zawierali nawet zakłady przewidujące, który z nich umrze w pewną bezksiężycową noc. Web z reguły był pierwszy na liście, bo wydawało się, że zawsze jest pierwszy na linii ognia. Teraz jednak dręczyło go to, że nie wiedział, co stało się między nim a siódmą trumną. A jedynym uczuciem gorszym od poczucia winy był wstyd.

Gdy zobaczył policyjną barierkę, zatrzymał macha przy krawężniku i wysiadł. Pokazał identyfikator facetom z posterunku, wszyscy byli zdumieni jego widokiem. Przemknął uliczką, zanim armia dziennikarzy zdołała się na niego rzucić. Od czasu masakry nadawali stąd na żywo ze swoich satelitarnych wozów transmisyjnych z wysokimi masztami. Złapał trochę wiadomości w szpitalu. Karmili społeczeństwo

ciągle tym samym, używając swoich tabelk i zdjęć, stroili ponure minki i mówili coś w rodzaju: „Na razie wiemy tylko tyle. Ale zostańcie z nami, jestem pewien, że później uzyskamy więcej informacji, nawet jeśli będziemy musieli zmyślić jakieś gówno. Oddaję ci mikrofon, Sue”. Web potruchtał alejką.

Burza szalejąca ostatniej nocy już dawno wpadła do Atlantyku. Wyparło ją najchłodniejsze powietrze, jakie pojawiło się w mieście od wielu tygodni. Waszyngton, zbudowany na bagnach, lepiej radził sobie z upałem i wilgocią niż z zimnem i śniegiem. Kiedy spadał śnieg, jedyna oczyszczona z niego ulica biegła w twoich marzeniach.

W połowie zaułka natknął się na Batesa.

- Co ty tu, do cholery, robisz? - zapytał Bates.

- Powiedziałaś, że chcesz usłyszeć moją relację na miejscu, więc jestem tutaj, żeby ci wszystko opowiedzieć. - Bates spojrział na dłoń Weba. - Bierzmy się do tego, Perce. Każda minuta się liczy.

Web powtórzył drogę swojego oddziału dokładnie od miejsca, w którym wyrzucił ich chevrolet. Z każdym krokiem, który robił w kierunku celu, narastał w nim gniew i strach. Ciało już nie było, ale krew została. Najwyraźniej nawet rześisty deszcz nie zdołał jej zmyć. Web błyskawicznie powtórzył w myśli każdy ruch, jaki wtedy wykonał, przypomniał sobie każde uczucie, jakiego wtedy doświadczał.

Zniszczone gniazda karabinów maszynowych były demontowane i badane przez ludzi, którzy regularnie doprowadzali do wyroków sądowych na podstawie mikroskopijnych skrawków. Inni chodzili po kwadratowym podwórku, klękali, pochylali się, oznaczali różne rzeczy etykietami i wszystko gruntownie badali, krótko mówiąc: szukali odpowiedzi w przedmiotach, które raczej nie były skłonne ich udzielić. Web obserwował ich bez wiary, że to coś da. Było mało prawdopodobne, że wyraźne ślady czekają tylko na karabinach, żeby je pobrali technicy od odcisków palców. Ten, kto zaplanował tę wymyślną zasadzkę, nie byłby tak niedbały. Web stąpał między plamami krwi, jakby chodził na palcach wokół grobu; czy nie było tak naprawdę?

- Okna zostały pomalowane na czarno, żeby broni nie można było zauważyć, dopóki nie zaczniesz strzelać. Nie pojawiały się więc żadne rozbłyski światła na lufach, nic takiego - wyjaśnił Bates.

- Miło wiedzieć, że załatwili nas zawodowcy - odpowiedział gorzko Web.

- Całkowicie skasowałeś te pięćdziesiątki. - Bates wskazał jeden ze zniszczonych karabinów.

- SR75 potrafi to dla ciebie zrobić.

- To minidziałka, konstrukcja wojskowa. Sześciolufowe, podobne do Gatlingów, ustawione na trójnogach, które przyśrubowano do podłogi, żeby pozycja strzelecka się nie zmieniała. Każdy był wyposażony w podajnik, taśmy i cztery tysiące połączonych naboju. Wybrana szybkostrzelność wynosiła czterysta na minutę, chociaż maksymalne ustawienie to osiem tysięcy.

- Czterysta to bardzo dużo. I było osiem karabinów. To trzy tysiące dwieście kul

lecących na ciebie w ciągu sześćdziesięciu sekund. Wiem to, bo wszystkie oprócz jednego rykoszetu minęły mnie o kilka cali.

- Przy tak wolnym tempie te karabiny mogły strzelać długo.
- I strzelały.
- Napęd był elektryczny, a naboje mogły przebić pancerz.

Web tylko pokręcił głową.

- Dowiedzieliście się, co je uruchomiło?

Bates poprowadził go do muru po stronie podwórka najbardziej oddalonej od uliczki, którą przyszedł. Była to część budynku stojącego prostopadle do innej opuszczonej kamienicy, celu niedosłej akcji. Zlekceważony obiekt stanowił źródło jednej drugiej strzelającego półkola, które sprzątnęło Grupę Charlie. To, co było niedostrzegalne w ciemnościach, tylko trochę wyraźniej ukazało się w świetle dziennym.

Web ukląkł i rozpoznał urządzenie laserowe. W ceglach wybito małą dziurę i wetknięto tam czubek lasera z zasilaczem. Dziura była dłuższa niż zasilacz, tak że kiedy umieszczono go w środku, był prawie niewidoczny. Snajperzy nie mogli go zauważyć ze swoich stanowisk, nawet gdyby szukali czegoś takiego, ale ich wywiad nie dostarczył żadnych wskazówek co do podejrzanych przedmiotów, o ile Web się orientował. Ścieżka lasera biegła na wysokości kolan i kiedy niewidoczny strumień światła został włączony, bez wątpienia przeciął podwórko.

- Wiązka zostaje przerwana, karabiny zaczynają strzelać i zatrzymują się tylko na kilka sekund po każdym cyklu, dopóki nie skończy się amunicja. - Web rozejrzał się w oszołomieniu. - A gdyby pies albo kot, albo ktoś, kto po prostu tutaj przechodził, przerwał promień, zanim my tam dotarliśmy?

Z wyrazu twarzy Batesa wynikało jasno, że już rozważył taką możliwość.

- Myślę, że ludzie zostali dyskretnie ostrzeżeni i trzymali się z daleka. Zwierzęta to inna sprawa. A więc uważam, że laser został włączony za pomocą pilota.

Web wstał.

- A więc czekali, aż będziemy prawie na podwórku, zanim uruchomili laser. To znaczy, że ta osoba musiała być dosyć blisko.

- Cóż, słyszała, jak się zbliżacie, albo dostała informację. Być może czekała, aż wyjdziecie zza rogu, nacisnęła przycisk pilota i uciekła.

- Nie widzieliśmy cholерnej żywej duszy na tym podwórku, a mój termolokator nie wykrył nigdzie temperatury trzydzieści sześć przecinek sześć.

- Może byli w tym budynku, do diabła, w którymkolwiek z budynków. Wycelowali urządzenie w jedno z tych okien, nacisnęli w przycisk i zniknęli na długo przed pierwszymi strzałami.

- A snajperzy i Hotel niczego nie zobaczyli?

Bates pokręcił głową.

- Hotelarze opowiadają, że niczego nie widzieli, dopóki dzieciak nie przyniósł im



twojej notatki.

Wzmianka o Hotelu sprawiła, że Web pomyślał o Paulu Romano, i ogarnęło go jeszcze większe przygnębienie. Romano był teraz prawdopodobnie w Quantico i opowiadał wszystkim, że Web okazał się tchórzem i pozwolił zginąć swojej grupie, a teraz próbuje tłumaczyć się zaćmieniem umysłu.

- Whisky? Rentgen? Musieli coś widzieć - powiedział Web o snajperach z dachów.

- Coś widzieli, ale na razie nie mogę o tym rozmawiać.

Instynkt powiedział Webowi, żeby dać temu spokój. Co mogli powiedzieć snajperzy? Że widzieli, jak Web zastygł w miejscu, pozwolił, aby grupa popędziła dalej bez niego, a potem upadł na ziemię, kiedy jego towarzysze byli wycinani w pień?

- A co z DEA? Byli z Hotelem i mieli też jednostkę w rezerwie.

Bates i Web popatrzyli na siebie i Bates pokręcił głową.

FBI i DEA, Agencja do spraw Narkotyków, nie byli najlepszymi przyjaciółmi. Web zawsze uważał, że DEA jest jak maluch, który kopie po łydkach swojego starszego brata, aż ten mu odda, a wtedy łobuziak ucieka i skarży się.

- Cóż, chyba musimy na tym poprzestać, dopóki nie pojawi się coś nowego - skomentował Web.

- Chyba tak. Czy któryś z was miał sprzęt noktowizyjny?

Web natychmiast pojął zasadność tego pytania. Okulary noktowizyjne wykryłyby laser, ukazując go jako długi, łatwy do rozpoznania promień światła.

- Nie. Wyciągnąłem termolokator, kiedy zaczęły się strzały, ale szturmowcy nie noszą noktowizorów. Jeśli w otoczeniu pojawi się jakiegokolwiek źródło światła, to po zdjęciu okularów noktowizyjnych jesteś praktycznie ślepy. A snajperzy prawdopodobnie nie używali ich podczas ataku; za bardzo zaburzają percepcję głębi.

Bates ruchem głowy wskazał zdewastowane budynki, w których ustawiono pięćdziesiątki.

- Technicy zbadali karabiny. Przy każdym była sygnalizacyjna skrzynka połączeniowa. Sądzą, że zaplanowano parę sekund opóźnienia między chwilą, w której Grupa Charlie przerwała promień, a uruchomieniem broni, aby mieć pewność, że grupa będzie dokładnie w strefie zabijania. Podwórko i tory ostrzału były na tyle duże, że musieli brać to pod uwagę.

Web poczuł nagle, że kręci mu się w głowie, oparł się ręką o ścianę. Czuł się tak, jakby ponownie dotknął go paraliż, któremu uległ podczas skazanego na porażkę ataku.

- Powinieneś być dać sobie trochę więcej czasu na dojście do siebie - powiedział Bates, ujmując Weba pod ramię, żeby pomóc mu utrzymać się na nogach.

- Miałem już gorsze skaleczenia, gdy rozciąłem sobie dłoń kartką papieru.

- Nie mówię o ręce.

- Z moją głową też wszystko w porządku, dziękuję za troskę - rzucił oschle Web, a potem się rozluźnił. - Teraz chcę po prostu działać, a nie myśleć.

Przez następne pół godziny Web pokazywał rozmieszczenie osób, które minęli tamtej nocy, opisywał ich wygląd i opowiadał o wszystkim innym, co potrafił sobie przypomnieć, zaczynając od czasu, kiedy Charlie opuścił końcowy odcinek obszaru przygotowawczego, a kończąc na momencie wystrzelenia w obrębie podwórka ostatniego naboju.

- Jak ci się zdaje, czy któryś z nich mógł współpracować z celem? - zapytał Bates, myśląc o ludziach, których Web i reszta grupy minęli w uliczce.

- Tutaj wszystko jest możliwe - odpowiedział Web. - Na pewno był przeciek. I mógł nastąpić w dowolnym miejscu.

- Rzeczywiście, jest dużo możliwości - potwierdził Bates. - Przypatrzmy się niektórym.

Web wzruszył ramionami.

- To nie był scenariusz z sygnałem i trzema ósemkami. - Chodziło mu o liczbę osiemset osiemdziesiąt osiem, która pojawiała się na jego pagerze i stanowiła rozkaz dla wszystkich członków HRT, żeby zasuwali do Quantico. - Data ataku została ustalona z góry, więc wczoraj wieczorem wszyscy spotkali się w HRT, żeby dobrać sprzęt i rozdzielić zadania w grupach, a potem ruszyliśmy w suburbanach. Zrobiliśmy wstępny postój w Buzzard Point, a potem pojechaliśmy do końcowego obszaru przygotowawczego. Mieliśmy pod ręką prokuratora, na wypadek gdybyśmy potrzebowali jakichś dodatkowych nakazów. Snajperzy byli już na miejscu. Weszli do tego kwartału wcześniej, udając, że są robotnikami i mają uszczelnić dachy dwóch budynków, które stoją wzdłuż drogi planowanego ataku. My, szturmowcy, załatwiliśmy przedtem nasze brudne interesy z miejscową policją, jak zawsze. Kiedy opuściliśmy ostatnie stanowisko, Teddy Riner poprosił o upoważnienie do kompromisowych rozwiązań z powodu niesprzyjającej sytuacji logistycznej i uzyskał je. Chcieliśmy mieć możliwość natychmiastowego otwarcia ognia, gdyby zaszła taka potrzeba. Wiedzieliśmy, że ryzykujemy, uderzając na ten budynek od frontu i wystawiając się na strzały pod oknami, ale myśleliśmy też, że nie będą się tego spodziewać. Zresztą takie położenie budynku wśród sąsiednich domów nie stwarzało zbyt wielu innych możliwości. Dostaliśmy zielone światło pozwalające nam przejść do miejsca krytycznego i zamierzaliśmy wykonać zadanie po odliczaniu z COT. Mieliśmy jeden główny zewnętrzny punkt wyłomu. Plan ataku zakładał, że rozdzielimy się, kiedy już będziemy w środku, i uderzymy z dwóch miejsc, jednocześnie Hotel i DEA wpadną od tyłu, a jednostka rezerwowa i snajperzy zapewnią wsparcie ogniowe i osłonę. Ostro i szybko, jak zawsze.

Mężczyźni siedzieli na dwóch koszach na śmieci. Bates wrzucił paczkę gumy do pojemnika, wyciągnął papierosy i zaproponował jednego Webowi, ale ten grzecznie odmówił.

- Lokalna policja знаła cel, prawda? - zapytał Bates.

Web skinął głową.

- Przybliżone położenie. Mogli tam być, pomagali otoczyć ten obszar i trzymać ludzi na zewnątrz obwodu, żeby nie wchodzili nam w drogę, uważali, czy współpracownicy nie próbują dać cynku celowi, takie rzeczy.

- Jak ci się wydaje, na ile czasu przed akcją wiedzieli o niej miejscowi, zakładając, że to stamtąd był przeciek?

- Mieliby godzinę.

- Cóż, nikt nie przygotował tej śmiertelnej pułapki w godzinę.

- Kto był tajniakiem w tej sprawie?

- Oczywiście zabierzesz to nazwisko ze sobą do grobu. - Bates zamilkł na chwilę, przypuszczalnie dla podkreślenia swoich słów, a potem powiedział: - Nazywa się Randall Cove. Prawdziwy weteran. Pracuje nad celem głęboko w środku. Bardzo głęboko, w samych ściekach. To Afroamerykanin, zbudowany jak ciężarówka i poradziłby sobie na ulicy tak samo jak najlepsi z bandziorów. Robił takie rzeczy milion razy.

- A jaka jest jego wersja?

- Nie pytałem go.

- Dlaczego?

- Nie mogę go znaleźć. - Bates przerwał, a potem dodał: - Czy wiesz na pewno, że Cove był poinformowany o terminie uderzenia?

To pytanie zaskoczyło Weba.

- Twoja strona wiedziałaby to lepiej niż moja. Mogę tylko przyznać, że faktycznie podczas odprawy nie było mowy o jakichś tajniakach czy informatorach, którzy będą w celu. Gdyby mieli tam być, powiedziano by nam o tym przed operacją. Wiedzielibyśmy wtedy, kim są i jak wyglądają. Trzeba by ich zakuć i wyprowadzić tak jak wszystkich innych, żeby prawdziwy cel się nie połapał i ich nie zabił.

- Ile wiedzieliście o celu?

- Operacje finansowe handlarzy narkotyków, mieli tam być księgowi. Silna ochrona. Nasi chcieli mieć facetów od pieniędzy jako potencjalnych świadków, mieliśmy ich traktować jak zakładników. Zgarnąć ich szybko i wyciągnąć stamtąd, zanim ktokolwiek się zorientuje, co robimy, i załatwi ich, żeby nie mogli sypnąć. Nasz plan ataku został zatwierdzony, napisano rozkazy operacyjne; dostaliśmy rysunki celu i zbudowaliśmy jego kopię w Quantico. Ćwiczyliśmy bardzo długo, aż w końcu znaleźliśmy tam każdy centymetr. Podano nam zasady postępowania, nic niezwykłego, ubraliśmy się i wsiedliśmy do suburbana. Koniec opowieści.

- Zwykle prowadzicie obserwację, to znaczy snajperzy ze szklami - powiedział Bates, mając na myśli strzelców, którzy obserwują cel przez lornetki i lunety. - Czy tym razem coś zauważyli?

- Nic szczególnego, bo inaczej powiedziano by nam o tym na odprawie. Poza tym, że mogliśmy zdobyć świadków, dla mnie był to tylko wyolbrzymiony nalot na kryjówkę handlarzy. Do diabła, uczyliśmy się fachu na takich akcjach.

- Gdyby to była po prostu kryjówka handlarzy, nie potrzebowałiby was przy jej likwidacji, Web. WFO mogło użyć swojej grupy SWAT.

- Cóż, powiedziano nam, że sytuacja logistyczna jest mocno skomplikowana, i rzeczywiście tak było. Wiedzieliśmy, że cele są naprawdę niebezpieczne i że mają trochę ciężkiego sprzętu, z którym formacja SWAT, jak oceniła, nie mogłaby sobie poradzić. Poza tym była kwestia zgarnięcia potencjalnych świadków. To wystarczyło, żeby ta akcja nam przypadła. Ale nikt z nas nie spodziewał się ośmiu zdalnie sterowanych minidziałek.

- Najwyraźniej wciskano nam kit. Pozwoliliśmy się nim karmić jak matczynym mlekiem. Stały tam karabiny, ale poza tym budynek był pusty. Pułapka od samego początku. Nie było żadnych księgowych, żadnych archiwów, niczego.

Web przesunął dłoń po dziurach od kul w murze. Często były tak głębokie, że widział pod spodem masyw betonowy - te pociski na pewno mogły przebić pancerz. Jedyną dobrą rzeczą było to, że członkowie jego grupy umarli natychmiast.

- Snajperzy musieli coś widzieć. - Miał nadzieję, że dostrzegli to, co sprawiło, że się zatrzymał. Ale jak mogliby coś zobaczyć?

- Nie skończyłem jeszcze z nimi rozmawiać. - Bates nie chciał rozwijać tego tematu i Web znów postanowił nie nalegać.

- Gdzie jest dzieciak? - Web zawahał się, próbując sobie przypomnieć jego imię. - Kevin.

Bates też zastanawiał się przez moment.

- Zniknął.

Web zeszywniał.

- W jaki sposób? To dzieciak.

- Nie mówię, że zrobił to sam.

- Wiemy, kim jest?

- Kevin Westbrook. Wiek dziesięć lat. Ma jakąś rodzinę w okolicy, ale większość czasu bawi w gościnie u władz stanowych. Ma też starsze go brata o przydomku Wielki F, F to skrót od tego, co myślisz. Szef ulicznego gangu, wielki jak drzewo i bystry jak doktor ekonomii po Harvardzie. Handluje metedryną, jamajską marihuaną, naprawdę czadowym towarem, ale nigdy nie udało nam się zmontować sprawy przeciw niemu. Ten rejon to jakby jego terytorium.

Web rozprostował palce zranionej dłoni. Plaster nic teraz nie dawał i London poczuł się winny tylko dlatego, że w ogóle o tym pomyślał.

- To dziwny zbieg okoliczności, że młodszy brat gościa, który rządzi tym obszarem, siedział na dworze w uliczce, kiedy tamtędy przechodziliśmy. - Mówiąc o chłopcu, Web poczuł zmianę w swoim ciele, jakby dusza ulatywała z niego i sama płynęła naprzód. Myślał nawet, że zemdleje. Zaczynał się zastanawiać, czy potrzebuje lekarza, czy egzorcysty.

- Cóż, mieszka niedaleko. I z tego, co się dowiedzieliśmy, jego dom rodzinny nie jest taki wspaniały. Prawdopodobnie unikał go, gdy tylko mógł.

- Tego jego wielkiego brata też nie ma? - zapytał Web, który powoli odzyskiwał równowagę.

- On nie mieszka pod swoim oficjalnym adresem. Kiedy pracujesz w takim biznesie, ciągle się przemieszczasz. Nie mamy żadnych bezpośrednich dowodów łączących go choćby z jakimś wykroczeniem, ale szukamy go teraz naprawdę intensywnie. - Bates przyglądał się Webowi. - Na pewno nic ci nie jest?

Web zbył to pytanie machnięciem ręki.

- A jak właściwie straciliście dzieciaka?

- To nie jest jeszcze tak do końca jasne. Będziemy wiedzieć więcej, kiedy skończymy węszyć po okolicy. Ktoś musiał widzieć, jak przywieziono broń i tworzono gniazdo karabinów maszynowych. Nawet tutaj wydałoby się to trochę niezwykle.

- Naprawdę myślisz, że ktoś stąd będzie z wami rozmawiał?

- Musimy spróbować, Web. Potrzebujemy tylko jednej pary oczu.

Mężczyźni milczeli przez chwilę. Bates w końcu podniósł wzroki z zakłopotaniem zapytał:

- Web, co się tak naprawdę stało?

- Lepiej zapytaj o to, o co faktycznie ci chodzi. To znaczy: „Dlaczego nie było to doskonale siedem na siedem?”.

- Właśnie o to pytam.

Web popatrzył na drugi koniec podwórka, dokładnie tam, gdzie upadł na ziemię.

- Wyszedłem z uliczki późno. To było tak, jakbym nie mógł się poruszać. Myślałem, że miałem wylew. Potem upadłem, na chwilę przed pierwszymi strzałami. Nie wiem dlaczego. - Umysł Weba nagle stał się zupełnie pusty, a potem znów się „włączył”, jakby Web był telewizorem, w pobliżu którego uderzył piorun. - Oprzytomniałem w następnej sekundzie, Perce. Zajęło to tylko sekundę. Najgorszy splot zdarzeń w historii świata. - Spojrzał na Batesa, żeby ocenić jego reakcję. Zwężone oczy mężczyzny powiedziały Webowi wszystko, co chciał wiedzieć. - Do diabła, nie czuj się źle. Ja też w to nie wierzę - powiedział. - Bates nadal milczał i Web postanowił ujawnić drugi powód swojego przyjazdu. - Gdzie jest flaga? - zapytał. Bates wydawał się zaskoczony. - Flaga HRT. Muszę zabrać ją z powrotem do Quantico.

Podczas każdej misji najstarszy rangą członek grupy dostawał flagę HRT i niósł ją razem ze sprzętem. Po zakończeniu misji również najstarszy rangą oddawał flagę dowódcy HRT. Cóż, tak się złożyło, że teraz był to Web.

- Chodź ze mną - powiedział Bates.

Przy krawężniku zaparkowana była półciężarówka FBI. Bates szybkim ruchem otworzył jedną część tylnych drzwi, sięgnął do środka i wyjął flagę złożoną na sposób wojskowy. Podał ją Webowi.

Web trzymał flagę w obu rękach, wpatrywał się przez chwilę w ten symbol, a wszystkie szczegóły rzezi cisnęły się jeszcze raz do jego głowy.

- Jest w niej parę dziur - zauważył Bates.
- Tak jak w nas wszystkich - odparł Web.

Następnego dnia Web udał się do kompleksu HRT w Quantico. Jechał Trasą Piechoty Morskiej Nr 4 i minął podobną do uniwersyteckiego campusu akademie FBI, która była domem kujanów zarówno z FBI, jak i z DEA. Web spędził w akademii trzynaście bardzo wyczerpujących i stresujących tygodni życia, ucząc się, jak być agentem FBI. W zamian płacono mu parę centów, mieszkał w akademiku ze wspólnymi na kilka pokoi łazienkami i musiał nawet przywieźć własne ręczniki! Ale Web uwielbiał to i poświęcał każdą chwilę, w której nie spał, na doskonalenie swoich umiejętności, bo czuł, że jest stworzony do tej roboty.

Opuścił akademię jako świeżo upieczony i zaprzysiężony agent FBI ze swoim rewolwerem Smith & Wesson kaliber .357, który potrzebował aż czterech kilogramów nacisku, żeby wystrzelić. Rzadko ktoś trafiał się przypadkiem w stopę z tej broni. Teraz rekruci nosili półautomaty Glock kaliber .40 z czternastoma nabojami w magazynku i wkładali znacznie mniej siły w pociągnięcie za spust, ale Web wciąż czule wspominał swojego Smitha & Wessona z potężną trzycalową lufą. Wymyślniejsze niekoniecznie znaczy lepsze. Przez następne sześć lat uczył się, jak być agentem FBI w terenie. Przekopywał się przez osławioną górę papierów w Biurze, wyszukiwał tropy, werbował informatorów, odpowiadał na skargi, siedział na tyłku przy podsłuchach, prowadził całonocne obserwacje, gromadził dowody i aresztował ludzi, którzy się o to usilnie dopominali. W swojej karierze zawodowej Web dotarł do punktu, w którym potrafił w ciągu pięciu minut ułożyć plan akcji, jadąc służbowym samochodem Biura - nazywanym zawsze bucarem - autostradą z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, kierując kolanami i wpychając naboje do karabinu. Nauczył się przesłuchiwać podejrzanych w taki sposób, że najpierw ustalał podstawy, a potem zadawał im podchwytliwe pytania, które miały ich zupełnie zaskoczyć, aby później ocenić, kiedy kłamali. Nauczył się również zeznawać tak, że nie mogli go złamać zręczni obrońcy, których jedynym celem było nie odkrywanie prawdy, ale jej zagrzebywanie.

Jego zwierzchnicy, w tym Percy Bates (kiedy Web został przeniesiony do Biura Regionalnego w Waszyngtonie po kilkuletnim pobycie na Środkowym Zachodzie), wypełniali jego teczkę osobową samymi pochwałami, byli pod wrażeniem jego zaangażowania, fizycznej i umysłowej sprawności, a także jego zdolności myślenia w biegu. W pewnych sytuacjach pracował niezgodnie z przepisami, sądził jednak, że robiła tak większość naprawdę dobrych agentów, ponieważ niektóre przepisy Biura były po prostu głupie. Tego też nauczył go Percy Bates.

Web zaparkował, wysiadł z samochodu i skierował się do budynku HRT, który nigdy nie zostałby określony mianem pięknego przez nikogo, kto miał dobry wzrok.

Został powitany z otwartymi ramionami, twardzi, zahartowani mężczyźni, którzy widzieli więcej śmierci i niebezpieczeństwa, niż przeciętny obywatel był w stanie sobie wyobrazić, rozpaczali razem z nim, pozostając jednak w swoich pokojach. Formacja HRT nie była organizacją, w której ktokolwiek paliłby się do ujawniania swoich słabości i uczuć. Żaden z mężczyzn nie chciał strzelać i ryzykować życia, stojąc obok nieśmiałego, wrażliwego gościa. Zostawiało się więc swoją ciepłą aurę w domu i po prostu zabierało do pracy szorstką stroną swojej osobowości, typową dla samca alfa. Wszystko opierało się tutaj na randze i umiejętnościach; te dwie sprawy zwykle, choć nie zawsze, sobie odpowiadały.

Oddał flagę swojemu dowódcy. Szef Weba, szczupły, umięśniony mężczyzna z przyprószonymi siwizną włosami, dawny członek HRT, który nadal mógłby pracować lepiej niż większość jego ludzi, przyjął flagę z godnością i uściśnął Webowi dłoń. A w swoim zamkniętym biurze łagodnie przygarnął niedobitka do piersi. Cóż, pomyślał Web, przynajmniej nie czują do mnie nienawiści.

Budynek administracyjny HRT powstał dla pięćdziesięciosobowego personelu, ale teraz aż stu ludzi nazywało go swoim drugim domem. Wszyscy oni mieli do dyspozycji tylko dwie kabiny w toalecie, więc kolejki do sikania były długie nawet dla elity walczącej z przestępczością federalnych. Za recepcją znajdowały się małe biura dowódcy, który miał rangę zastępcy starszego agenta specjalnego, i jego pomocników stojących niżej w hierarchii, to znaczy nadzorcy nad szturmowcami i nadzorcy nad snajperami. Członkowie HRT zajmowali dwa położone naprzeciw siebie skupiska klitek, podobne do plastrów miodu, w korytarzu oddzielającym szturmowców od snajperów. W budynku była tylko jedna sala wykładowa, która w tym ciasnym kompleksie pełniła też rolę sali konferencyjnej i pokoju odpraw. Na półce wiszącej na tylnej ścianie pomieszczenia stał szereg kubków do kawy. Za każdym razem, gdy lądowały helikoptery, kubki drżały. Ten dźwięk jakoś zawsze bardzo uspokajał Weba. Przypuszczał, że to członkowie którejś z grup wracają do domu cali i zdrowi.

Zaszedł do Ann Lyle, która pracowała w biurze. Ann miała sześćdziesiąt lat, była o wiele starsza niż pozostałe kobiety zatrudnione w administracji i naprawdę można ją było traktować jak matkę i nieoficjalną opiekunkę nieugiętych chłopaków, którzy nazywali HRT swoim domem. Niepisana reguła zakazywała przeklinania w obecności Ann, a także używania przy niej wszelkich innych prymitywnych odzywek i gestów. Zarówno nowicjusze, jak i weterani, którzy nie zważali na te ograniczenia, szybko stwierdzali, że stali się obiektem akcji odwetowej, na przykład w ich hełmach pojawiał się nie wiadomo skąd klej albo podczas ćwiczeń dosięgał ich wyjątkowo silny strzał, tak że później facet się zastanawiał, czy nie stracił jednego płuca. Ann była w HRT prawie od początków formacji po wielu latach pracy w WFO i owdowiała w tym czasie. Nie miała dzieci i całe jej życie kręciło się wokół pracy. Wysłuchiwała zwierzeń młodych, samotnych agentów, poznawała ich problemy i udzielała im sensownych wskazówek. Wspierała też członków HRT jako nieformalny doradca w sprawach małżeńskich i w niejednym wypadku zapobiegła rozwodowi. Przychodziła codziennie do sali szpitalnej Weba, kiedy czekał na operację twarzy, o wiele częściej, niż chciało się tam zaglądać jego matce. Ann



regularnie przynosiła do biura domowe wypieki, znana była jako główne źródło informacji o wszystkich sprawach, które miały coś wspólnego z Biurem i HRT. Orientowała się też świetnie w bałaganie zaopatrzeniowym Biura i jeśli członkowie HRT czegoś potrzebowali, nieważne jak wielkiego czy małego, Ann Lyle pilnowała, żeby to dostali.

Web znalazł przyjaciółkę w jej biurze, zamknął drzwi i usiadł naprzeciw niej.

Włosy Ann były już od paru lat białe, a ciało utraciło zgrabne kobiece kształty, ale jej oczy wciąż spoglądały młodzieńczo i jej uśmiech był naprawdę piękny.

Wstała zza biurka i przytuliła Weba, co bardzo mu się przydało. Jej policzki były mokre od łez. Członkowie Grupy Charlie byli jej szczególnie bliscy i zadawali sobie sporo trudu, żeby okazać jej swe przywiązanie i wdzięczność za wszystko, co dla nich robiła.

- Nie wyglądasz dobrze, Web.

- Miewałem lepsze dni.

- Nie życzyłabym tego nikomu, nawet najgorszemu wrogowi - powiedziała - ale ty jesteś ostatnią osobą na świecie, której powinno się to przytrafić, Web. Mam ochotę krzyczeć i nigdy nie przestać.

- Doceniam to, Ann - odparł Web. - Nadal nie wiem, co się stało, naprawdę. Nigdy wcześniej coś takiego mi się nie przydarzyło.

- Web, kochany, przez ostatnie osiem lat ciągle do ciebie strzelano. Nie uważasz, że napięcie się gromadzi? Jesteś tylko człowiekiem.

- O to właśnie chodzi, Ann, mam być kimś więcej. To dlatego jestem w HRT.

- Potrzebujesz porządnego długiego odpoczynku. Kiedy ostatni raz wzięłeś urlop? Pamiętasz?

- Potrzebuję pewnych informacji, które możesz mi pomóc zdobyć.

Ann bez słowa przystała na tę zmianę tematu.

- Zrobię, co będę mogła, wiesz przecież.

- Tajniak, nazywa się Randall Cove. Zaginął w akcji.

- To nazwisko brzmi znajomo. Myślę, że znałam jakiegoś Cove'a, kiedy pracowałam w WFO. Mówisz, że zaginął?

- Rozpracowywał cel przed naszym uderzeniem. Myślę, że albo wiedział o zasadzce, albo zerwano jego przykrywkę. Potrzebuję wszystkiego, co możesz znaleźć na jego temat. Adresy, pseudonimy, znane kontakty, pełen obraz.

- Jeśli pracował w Dystrykcie, na pewno tam nie mieszka - powiedziała Ann. - Tajniacy mają nieoficjalną regułę czterdziestu kilometrów. Nie chcesz wpaść na jednego z sąsiadów, kiedy pracujesz na swojej zmianie. Do najpoważniejszych zadań mogą nawet sprowadzić agenta z innej części kraju.

- To zrozumiałe. Ale nawet zaledwie czterdziestokilometrowy promień i tak pozostawia wiele dróg. Może udałoby się nam zdobyć spis rozmów telefonicznych, połączeń z WFO, tego typu rzeczy. Nie wiem, jak to zrobisz, ale naprawdę

potrzebuję wszystkiego, co możesz znaleźć.

- Tajniacy najczęściej używają kart telefonicznych z małymi limitami, kiedy się zgłaszają. Kupują je w sklepach całodobowych, zużywają, wyrzucają i kupują następną. Wtedy nie ma żadnych śladów.

Nadzieje Weba osłabły.

- A więc nie ma sposobu, żeby go wyśledzić? - Nigdy wcześniej nie musiał tropić tajnego agenta.

Ann uśmiechnęła się, jak zawsze czarująco.

- Och, Web, zawsze jest jakiś sposób. Pozwól mi tylko trochę poszperać.

London popatrzył na swoje ręce.

- Czuję się trochę jak facet z Alamo, którego Meksykanie jakimś cudem nie trafili.

Ann pokiwała głową ze zrozumieniem.

- W kuchni jest świeża kawa i ciasto czekoladowe z włoskimi orzechami, które przyniosłam. Idź się poczęstować, Web, zawsze byłeś za chudy. - Jej słowa sprawiły, że Web podniósł wzrok i popatrzył w tę cudownie dobrą twarz. - I osłaniam cię tutaj, kochany, nie myśl, że tego nie robię. Wiem, co jest grane, Web. Słyszę wszystko, z góry i z dołu. I nikt, naprawdę nikt nie przyczepi się do ciebie, dopóki tu siedzę.

Gdy wychodził, zastanawiał się, czy Ann Lyle rozważyłaby możliwość adoptowania go.

Znalazł wolny terminal komputerowy i załogował się do bazy danych HRT. Przyszło mu do głowy, zapewne tak jak innym, że unicestwienie grupy mogło być po prostu aktem zemsty. Przez dłuższy czas przeglądał opisy spraw z udziałem HRT. Napłynęła fala wspomnień o napawających dumą zwycięstwach i dotkliwych niepowodzeniach. Problem polegał na tym, że gdyby dodało się wszystkich ludzi, na których życie miały wpływ misje HRT, wliczyło się ich rodziny i przyjaciół, a także świrów o skrajnych poglądach polujących na pierwszą lepszą sprawę, aby móc ją wziąć w swoje ręce, wynik sięgnąłby kilku tysięcy. Web musiał zostawić to komuś innemu do sprawdzenia. Był pewien, że komputery Biura właśnie analizują te dane.

Poszedł głównym korytarzem i zatrzymał się na chwilę przed zdjęciami z dawnych akcji HRT. Można tu było zobaczyć obrazy wielu oszałamiających sukcesów. Kreda jednostki brzmiała: „Szybkość, zaskoczenie i gwałtowność działania”, i formacja przeprowadzała swoje skomplikowane akcje zgodnie z tymi zasadami. Web popatrzył na fotografię terrorysty figurującego na wykazie najbardziej poszukiwanych, który został zgarnięty z wód międzynarodowych (mówili na nie „łowisko”), jak niczego niepodejrzewający krab zabrany z dołka w piasku, i błyskawicznie przetransportowany na ląd, gdzie stanął przed sądem i dostał dożywocie. Były tam zdjęcia ze wspólnej międzynarodowej operacji sił specjalnych na narkotykowej plantacji w jednym z krajów Ameryki Łacińskiej. Uwieczniono wreszcie pełną napięcia sytuację po uwięzieniu zakładników w rządowym wieżowcu w Chicago. Ostatecznie wszyscy zostali uratowani, a trzech z

pięciu napastników zginęło. Niestety, nie zawsze tak to wyglądało.

Wyszedł przed budynek administracji i przyjrzał się rosnącemu tam samotnie drzewu. Był to egzemplarz jednego z gatunków symbolizujących stan Kansas, drzewo zasadzono dla uczczenia pamięci członka HRT, który stracił życie w wypadku podczas ćwiczeń i który właśnie stamtąd pochodził. Web za każdym razem, kiedy mijał to drzewo, modlił się w duchu, żeby nigdy nie musieli sadzić kolejnego. Najwyraźniej jego modlitwy nie zostały wysłuchane. Niedługo miał tu wyrosnąć cholerny las.

Web naprawdę musiał coś zrobić, cokolwiek, co pozwoliłoby mu pozbyć się uczucia, że jest partaczem. Poszedł do pomieszczenia ze sprzętem, zabrał snajperski karabin kaliber .308 i trochę amunicji, a potem wrócił na dwór. Musiał się uspokoić, a – paradoksalnie – strzelanie działało na niego kojąco, ponieważ wymagało precyzji i skupienia uwagi, co odsuwało wszystkie inne myśli, nawet najbardziej niepokojące.

Minął wąski, wysoki budynek, pierwszą siedzibę HRT. Wyglądał on jak silos zbożowy, a nie gmach mieszczący biura elitarniej jednostki obrońców prawa. Potem stał i patrzył na odległy stok wzgórza, na którym znajdowała się jedna ze strzelnic. Niedawno ustawiono nowe tarcze dla karabinów na dziewięćsetnym metrze. Ekipy robocze wycinały obecnie przyległy las, żeby powiększyć stale rosnący kompleks HRT, który obejmował także nową strzelnicę pod dachem. Za odkrytą strzelnicą zieleniały obsypane liśćmi drzewa. Webowi zawsze się wydawało, że to dziwaczna kombinacja: piękne barwy przyrody stanowiły tło w miejscu, w którym przez tyle lat uczył się coraz lepszych sposobów zabijania. A jednak on był jednym z dobrych facetów i dlatego wszystko grało. Przynajmniej bardzo mocno dawała to do zrozumienia lista obowiązków, które towarzyszyły odznace.

Ustawił cele. Miał zamiar zagrać w pokera snajperów. Karty były lekko rozłożone, tworząc wachlarz, w uchwycie celu, tak że widoczna była tylko mała część każdej z wyjątkiem przedniej. Chodziło o zebranie wygrywającego zestawu. Utrudnienie stanowiło to, że można było sobie zaliczyć tylko kartę, którą trafiło się czysto. Jeśli kula choćby drasnęła inny prostokącik, nie miało się prawa do tego, w który się celowało. I strzelającemu przysługiwało tylko pięć strzałów. Margines błędu był nieprawdopodobnie mały. Właśnie takie szarpiące nerwy zadanie mogło pomóc człowiekowi się zrelaksować, o ile był on perfekcjonistą z HRT.

Web zajął stanowisko dziewięćdziesiąt metrów od celów. Położył się płasko na ziemi i umieścił mały woreczek z fasolą pod łóżem trzysta ósemki, żeby podtrzymać ciężar górnej części ciała, kiedy będzie poprawiał swoją pozycję. Wyciągnął się w linii odrzutu, żeby zredukować do minimum skok wylotu lufy; biodra przycisnął do ziemi, kolana rozchylił na szerokość barków, a kostki oparł na ziemi, żeby zmniejszyć sylwetkę, gdyby ktoś do niego mierzył. Web ustawił odpowiednie wartości na kółku kalibracyjnym lunety, uwzględnił też wiatr. Wilgotność była wysoka, więc dodał jeszcze półminutową zapadkę. Gdy pracował jako snajper, każdy strzał, na który się zdecydował podczas misji, odnotowywał w swoim dzienniku. Taki zeszyt zawierał bardzo cenne zapisy o wpływie środowiska i warunków atmosferycznych na wystrzelone kule i czasami wyjaśniał, dlaczego

snajper spudłował, a tylko w takich przypadkach zaczynało się nim interesować. Kiedy trafił w wyznaczony cel, to po prostu zrobił, co do niego należało, nie dostawał w nagrodę kluczy do miasta. Nie było zbyt drobnego szczegółu, kiedy chodziło o zabijanie z dużej odległości. Niewielki cień na obiektywie łatwo mógł sprawić, że niezbyt czujny strzelec sprzątnąłby zakładnika, a nie osobę, która go zatrzymała.

Web lekko ścisnął chropowaty uchwyt pistoletu. Przyciągnął łożo do barku, przycisnął do niego policzek, ustawił właściwy kąt przyłożenia oka i chwycił poduszczkę przy kolbie swoją słabszą ręką, żeby wyprostować dwójnog trzysta ósemki. Wciągnął powietrze, powoli wypuścił je z płuc. Żaden drgający mięsień nie mógł przeszkodzić Webowi podczas oddawania snajperskich strzałów. Mięśnie były zawodne; potrzebował raczej kości na kości, bo kość się nie uchylała. Web jako snajper zawsze posługiwał się techniką zasadzki. Polegała ona na czekaniu, aż cel znajdzie się w wyznaczonej wcześniej przez strzelca strefie zabijania. Snajper umieszczał krzyżyk celownika zaraz przed celem, a potem liczył umieszczone co milimetr kropki w siatce, żeby określić odległość od celu, kąt padania i prędkość. Musiał także wkalkulować wysokość, na jakiej się znajdował, wiatr i wilgotność, a potem czekał, jak przysłowiowy pajak w sieci. Zawsze strzelało się w czaszkę, z bardzo prostego powodu. Cele trafione w głowę nigdy nie próbowały odpowiedzieć ogniem.

Kość na kości. Sześćdziesiąt cztery uderzenia serca na minutę. Web odetchnął po raz ostatni przed oddaniem strzału; położył palec na spuście i wystrzelił pięciokrotnie z precyzją człowieka, który robił to już znacznie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy razy. Powtórzył tę procedurę jeszcze czterokrotnie, przy czym trzy razy mierzył z dziewięćdziesięciu metrów, a ostatnią partię pokera snajperów rozegrał na stu osiemdziesięciu metrach, co było najdalszą odległością w tej grze.

Kiedy sprawdził cele, nie mógł powstrzymać uśmiechu. W dwóch taliach miał sekwens pików zaczynający się od króla, w dwóch innych mocną kareta asów z królem i fula na stu osiemdziesięciu metrach; i nie było ani jednego śladu po kuli na żadnej innej karcie. Nie wyrzucił też ani jednego naboju, co w żargonie Biura oznaczało, że nie zaliczył żadnego pudła. Dzięki temu jego samoocena wzrosła na około dziesięć sekund, a potem depresja gwałtownie powróciła.

Wstawił broń z powrotem do pomieszczenia ze sprzętem i znowu zaczął się przechadzać. Z boku, na przyległym terenie Korpusu Piechoty Morskiej, znajdowała się Żółta Ceglana Droga, piekielny dwunastokilometrowy tor przeszkód z czteroipółmetrowymi linami do zjeżdżania, wilczymi dołami z drutem kolczastym, które tylko czekały, żebyś się po śliznął i upadł, a także pionowymi skalnymi ścianami. Kiedy Web starał się o przyjęcie do HRT, przebiegł ten tor tyle razy, że zapamiętał każdy jego obrzydliwy centymetr. Konkurencje zespołowe obejmowały dwudziestoczkilometrowe biegi z obciążeniem w postaci sprzętu ważącego zawsze ponad dwadzieścia dwa kilogramy i niesionych dodatkowo w rękach cennych przedmiotów, to znaczy na przykład cegieł, a wtedy żadna z nich nie mogła dotknąć ziemi, bo inaczej grupa, do której się należało, by przegrała. Było także pływanie w lodowatej, brudnej wodzie i piętnastometrowe drabiny skierowane

prosto w okna Pana Boga. Potem następowała wspinaczka po „hotelu złamanych serc”, zwykła wycieczka na trzecie piętro, i dobrowolny (taak!) skok z krawędzi nadburcia starego statku do rzeki James. Od czasu gdy Web wstąpił do HRT, „hotel złamanych serc” został nieco ucywilizowany, pojawiły się druty wspomagające, poręcze i siatki. Było tam teraz niewątpliwie bezpieczniej, ale jego zdaniem znacznie mniej zabawnie. Ale i tak zdecydowanie odradzałyby składanie podań do HRT ludziom z lękiem wysokości. Spuszczanie się po linie z helikoptera w gęsty las naprawdę oddzielało mężczyzn od chłopców, bo jeśli przegapiłeś miejsce lądowania, twoje wnętrzości zapoznawały się z trzydziestometrowym dębem o wiele za dobrze.

Poza tym, aby ukończyć kurs, każdy rekrut musiał poradzić sobie w cieplarni, dwupiętrowej betonowej wieży ze stalowymi przesłonami przyspawanymi na oknach. Wewnętrzny układ budynku, w którym zamiast podłóg były druciane siatki, pozwalał pożarowi wznieconemu na dole buchnąć dymem aż do samej góry w ciągu paru sekund. Nieszczęsnego rekruta wrzucano na drugie piętro i musiał posłużyć się zmysłem dotyku, odwagą oraz instynktem, żeby dotrzeć na dół, a potem w bezpieczne miejsce na zewnątrz. Nagrodą za przetrwanie tego było wiadro wody chluśniętej w oczy, żeby usunąć dym, i okazja do wydostania się z cieplarni jeszcze raz parę minut później z siedemdziesięciokilogramowym manekinem na plecach.

A między tym wszystkim „poupychane” były dziesiątki tysięcy wystrzelonych naboju, zajęcia teoretyczne, które wprawiłyby w zakłopotanie i oszołomienie samego Einsteina, mordercze ćwiczenia fizyczne, po których wielu olimpijczyków dyszałoby z wyczerpania, i do tego wystarczająco dużo niesamowitych scenariuszy wymagających podejmowania decyzji w ułamku sekundy, by delikwent zrezygnował z alkoholu i kobiet, wczuł się do wyściełanego pokoju bez klamek i zaczął mówić do siebie. I na każdym etapie członkowie HRT oceniali biedny tyłek kandydata przy każdym błędzie i każdym triumfie, i po prostu miało się nadzieję, że ostatecznie zbierze się o wiele więcej tych ostatnich, ale nigdy się nie wiedziało, jak sprawy stoją, bo ludzie z HRT w ogóle z kandydującym nie rozmawiali. Dla nich był on śmieciem, chociaż wypruwał sobie flaki. I wiedział, że nie dadzą po sobie poznać, że go zauważają, aż do czasu, kiedy uda mu się pomyślnie ukończyć kurs. Do diabła, prawdopodobnie nie wzięliby nawet udziału w jego pogrzebie, gdyby zginął podczas tych prób.

Web jakoś przeżył to wszystko i gdy został absolwentem Szkoły Nowych Funkcjonariuszy, w skrócie NOTS<sup>4</sup>, „zakupiono” go jako snajpera i spędził kolejne dwa miesiące w Szkole Snajperów Zwiadowców Korpusu Piechoty Morskiej, gdzie od najlepszych uczył się umiejętności z zakresu pracy w terenie, obserwacji, kamuflażu i zabijania za pomocą karabinu z lunetą. Potem przez ponad siedem lat był najpierw snajperem, a potem szturmowcem, i albo nudził się śmiertelnie podczas długich konfrontacji, często w opłakanych warunkach, albo strzelał i chował się przed kulami we wszystkich częściach świata, a mierzyli do niego niektórzy z jego najbardziej pomyślonych mieszkańców. W zamian dostawał wszelką broń i amunicję, jakiej potrzebował, i pensję równą temu, co mógł zarobić szesnastolatek programujący komputery podczas godzinnej przerwy na lunch.

Ogólnie było naprawdę czadowo.

Web przeszedł obok hangaru, który mieścił należące do jednostki wielkie helikoptery Bell 412 i znacznie mniejsze MD 530, na które wszyscy mówili „ptaszki”, ponieważ były szybkie i zwinne. Mogły przewieźć czterech ludzi w środku oraz czterech na płozach przy prędkości 220 kilometrów na godzinę. Web wleciał w „ptaszkach” w parę piekielnych sytuacji i pięćset trzydziestki zawsze zabierały go z powrotem, przy czym kilka razy dyndał do góry nogami na linie przyczepionej do podwieszenia helikoptera, a jednak Web nigdy nie wybrzydzał, kiedy chodziło o przeżycie misji.

Za płotem z grubej stalowej siatki znajdował się park samochodowy. Web zatrzymał się i zapiął kurtkę, bo wiał przenikliwy zimny wiatr. Niebo szybko zaciągało się chmurami, w miarę jak układ burzowy przesunął się nad ten obszar, co było zwyczajnym zjawiskiem o tej porze dnia w tym okresie roku. Wszedł za płot i usiadł na jedynym transporterze opancerzonym HRT, używanym wozie, który dostali w darze od wojska. Jego spojrzenie prześlizgnęło się po rzędzie zaparkowanych suburbanów. Pojazdy zostały zaopatrzone w składane drabiny, tak że mogli w nich podjechać pod sam budynek i wdrapać się od zewnątrz na czwarte piętro do kryjówki jakiegoś przestępcy. Stuk-puk, niespodzianka! Były tam ciężarówki transportowe, które woziły ich sprzęt, skutery wodne, ciężarówki do dostaw żywności, a także łódź ze sztywnym kadłubem i pneumatycznymi okrężnicami, która została zaprojektowana przez Navy SEALs. Miała ona bliźniacze silniki Chrysler V-8, których oddziaływanie na człowieka Web mógł porównać tylko do wrażeń, jakich może dostarczyć przebywanie w środku budynku burzonego rozbijarką. Wielokrotnie płynął tą łodzią – a raczej wielokrotnie udawało mu się przetrwać bliski kontakt z jej napędem.

Mieli tu wszystko: wyposażenie zarówno do ataków w dżungli, jak i do ekspedycji arktycznych. W czasie ćwiczeń przygotowywali się na każdą ewentualność, dawali z siebie wszystko w tej pracy. A jednak i tak mogli zostać pokonani przez zbieg okoliczności, szczęście dopisujące słabszym przeciwnikom albo zręczne planowanie i wiedzę wtajemniczonego zdrajcy.

Zaczęło padać, więc Web schronił się w obiekcie szkoleniowym, wielkim, podobnym do magazynu budynku z długimi przejściami, które miały udawać korytarze hotelowe, i przesuwanymi, powleczonymi gumą ścianami. Przypominało to do złudzenia dekoracje w hollywoodzkim studiu filmowym. Jeśli HRT udawało się zdobyć rysunki celu, rekonstruowali go tutaj i ćwiczyli w dokładnie takich samych warunkach, w jakich miała przebiegać akcja. Obecny zespół pomieszczeń zbudowano przed operacją, podczas której Grupa Charlie przestała istnieć. Gdy Web badał tę konstrukcję, nie przyszło mu na myśl, że nigdy nie zobaczy wnętrza rzeczywistego celu. Nie dotarli nawet do drzwi wejściowych. Miał nadzieję, że wkrótce zmienią to pomieszczenie, przygotowują je do następnej operacji. Wynik nie mógł już być gorszy, prawda?

Ściany pokryte gumą wchłaniały pociski, a grupy HRT często ćwiczyły tutaj z

użyciem ostrej amunicji. Klatki schodowe były zrobione z takiego gatunku drewna, który nie pozwalał na rykoszety; jednak grupa odkryła, choć na szczęście obyło się bez poważnych obrażeń, że gwoździe powbijane w drewno mogą odbić kulę i posłać ją w nieoczekiwane miejsca. Minął makietę kadłuba samolotu, która została stworzona po to, żeby mogli ćwiczyć scenariusze akcji na lotniskach. Zwisła z krokwi i do celów szkoleniowych można ją było unosić albo opuszczać.

Ilu wyimaginowanych terrorystów tu zastrzelił? Trening się opłacił, bo zrobił to naprawdę, kiedy w Rzymie terroryści opanowali amerykański samolot pasażerski i kazali pilotom lecieć do Turcji, a potem do Manili. Web i reszta ekipy oderwali się od ziemi w bazie sił lotniczych Andrews po niecałych dwóch godzinach od chwili otrzymania wiadomości o ataku. Śledzili trasę porwanego samolotu ze swojej powietrznej grzędy w C141. W Manili, gdzie w odrzutowcu uzupełniono paliwo, terroryści wyrzucili dwójkę martwych zakładników, Amerykanów, w tym czteroletnią dziewczynkę. Oświadczyli z dumą, że to polityczna deklaracja. Nie wiedzieli, że ich ostatnia.

Start uprowadzonego samolotu opóźniała najpierw pogoda, a potem awaria. Mniej więcej o północy miejscowego czasu Web i pozostali członkowie Grupy Charlie weszli na pokład samolotu przebrani za mechaników. Po trzech minutach pięciu terrorystów nie żyło i w dodatku nie zdążyli oni uśmiercić kolejnych zakładników. Web strzelił do jednego z napastników ze swojej czterdziestki piątki prosto przez puszkę z dietetyczną colą, którą facet podniósł do ust. London do dzisiaj nie mógł pić tego napoju. A jednak nigdy nie żałował, że pociągnął za spust. Już sam obraz ciała niewinnej dziewczynki na płycie lotniska – Amerykanki, Iranki, Japonki, to było dla Weba bez znaczenia – wystarczająco motywował go do likwidowania wszelkiego zła. Ci faceci mogli twierdzić, że są ofiarami całego geopolitycznego ucisku na świecie, wzywać wszystkie swoje potężne i wszechwiedzące bóstwa w swoich religijnych domach wariatów, podawać dowolne uzasadnienia dla detonowania bomb i używania broni, i żadna z tych rzeczy ani trochę nie liczyła się dla Weba, kiedy zaczynali zabijać niewinnych ludzi, a szczególnie dzieciaki. I miał zamiar walczyć z nimi, dopóki będzie im się chciało odprawiać bezsensowne misterium zła i zniszczenia na całym globie, bo dokądkolwiek by pojechali, on też mógł się tam zjawić.

Web przemierzał kolejne małe pokoje o gumowych ścianach, gdzie na słupkach wisiały plakaty z sylwetkami celujących do niego złych facetów. Instynktownie wziął ich na muszkę i sprzątnął. W przypadku uzbrojonej osoby zawsze należy koncentrować się na rękach, nie na oczach, bo doświadczenie uczy, że nikt nie został nigdy zabity przez parę oczu. Gdy opuścił „pistolet”, nie mógł powstrzymać uśmiechu. To wszystko było takie łatwe, kiedy w rzeczywistości nikt do ciebie nie strzelał. W innych pomieszczeniach znajdowały się zamocowane na słupkach głowy i górne części tułowi manekinów, dzięki „skórce” i właściwej masie podobne do prawdziwych ludzi. Web zaczął kopać je z boku w głowy, dodał serię paraliżujących uderzeń pięściami w nerki, a potem ruszył dalej.

Usłyszał jakiś ruch w jednym z pomieszczeń i zajrzał do środka. Znany mu muskularny mężczyzna, ubrany w podkoszulek i spodnie w panterkę, ocierał pot z

szyi, barków i ramion. Z sufitu zwieszały się długie liny. Była to jedna z sal, w których ćwiczono wciąganie. Web patrzył, jak mężczyzna trzy razy wspina się na górę i zsuwa zgrabnymi, płynnymi ruchami. Węzły mięśni w jego ramionach i barkach napinały się, a potem rozluźniały.

Kiedy skończył ćwiczyć, Web wszedł do środka i zagadnął:

- Hej, Ken, nigdy nie robisz sobie wolnego dnia?

Ken McCarthy popatrzył na Weba i raczej nie było to przyjacielskie spojrzenie. McCarthy był jednym ze snajperów, którzy leżeli na dachach wzdłuż uliczki tej nocy, kiedy Grupa Charlie zginęła pod gradem kul z pięćdziesiątek. Czarnoskóry McCarthy miał trzydzieści cztery lata, pochodził z Teksasu i jako dziecko armii obejrzał cały świat za pieniądze Wuja Sama. Przez pewien czas służył w SEAL, ale nie przejawiał nieznośnej zarozumiałości, która cechowała większość „fok”. Mierzył tylko sto siedemdziesiąt osiem centymetrów, ale na ławeczce potrafił wycisnąć ciężarówkę i miał czarne pasy, dające mu prawo do licznych tytułów w trzech różnych sztukach walki. Najlepiej ze wszystkich członków HRT radził sobie na wodzie, potrafił też umieścić kulkę między oczami wybranej osoby z odległości dziewięciuset metrów w środku nocy, siedząc okrakiem na konarze drzewa. Po trzech latach służby w formacji ten weteran nadal był cichy, najczęściej nie szukał towarzystwa i brakowało mu wisielczego poczucia humoru, typowego dla większości kolegów. Web nauczył go rzeczy, których McCarthy nie wiedział albo które z trudem załapywał, a w zamian za to Teksańczyk podzielił się z nim niektórymi ze swoich niesamowitych umiejętności. O ile Web wiedział, McCarthy nigdy nie miał do niego zastrzeżeń, ale teraz spojrzenie mężczyzny mogło zapowiadać koniec okresu akceptacji. Może Romano nastawił wszystkich przeciwko niemu.

- Co tu robisz, Web? Myślałem, że wciąż jesteś w szpitalu i leczysz rany.

Web postąpił jeszcze jeden krok w kierunku mężczyzny. Nie podobał mu się jego ton ani słowa, ale rozumiał, z czego wynika postawa McCarthy'ego. Mógł też zrozumieć podejście Romano; to było właśnie takie specyficzne miejsce. Oczekiwano, że wykonasz swoją pracę doskonale. Doskonałość była wszystkim, o co tutaj prosili. Podczas ostatniej akcji Web nawet się do niej nie zbliżył. Pewnie, skasował karabiny, ale po fakcie. To w ogóle się nie liczyło dla tych facetów.

- Rozumiem, że wszystko widziałeś.

McCarthy zsunął rękawice do ćwiczeń i roztarł swoje grube, pokryte twardymi odciskami palce.

- Zjechalibyśmy na uliczkę, ale COT powiedziało nam, żebyśmy się nie ruszali.

- Nic nie mogłeś zrobić, Ken.

McCarthy nadal patrzył na swoje stopy.

- W końcu dostaliśmy pozwolenie. To trwało za długo. Dołączyliśmy do Hotelu. Cholera, to trwało o wiele za długo - powtórzył. - Ciągłe się zatrzymywaliśmy, próbowaliśmy wywołać was przez mikrofon. COT nie wiedziało, co się, do diabła, dzieje. Nasz łańcuch dowodzenia jakoś się rozerwał. Chyba wiedziałeś o tym.



- Byliśmy przygotowani na wszystko oprócz tego, co się stało.

McCarthy usiadł na gumowej macie i podciągnął kolana. Spojrzał w górę na Webę.

- Słyszałem, że trochę późno wyszedłeś z uliczki i że jakby upadłeś czy coś takiego.

Czy coś takiego... Web usiadł obok McCarthy'ego.

- Karabiny uruchomił laser, który prawdopodobnie włączono pilotem, żeby pięćdziesiątki nie zaczęły strzelać przedwcześnie i nie trafiły w niewłaściwy cel. Ten, kto to zrobił, musiał być w pobliżu... - Web nie dokończył swej myśli, wpatrywał się w McCarthy'ego.

- Już rozmawiałem z WFO.

- Jestem pewien.

- To rozwijające się AFO, Web - powiedział. AFO to śledztwo w sprawie napaści na funkcjonariusza federalnego, w tym przypadku na wielu funkcjonariuszy.

- To wszystko też już wiem, Ken. Posłuchaj, nie jestem pewien, co się ze mną stało. Nie miałem zamiaru tak się zachować. Zrobiłem wszystko, co mogłem. - Web zaczerpnął głęboko powietrza. - I zaraz cofnąłbym czas, gdybym mógł. Muszę żyć z tym każdego dnia, Ken. Mam nadzieję, że potrafisz to zrozumieć.

McCarthy podniósł głowę i jego wrogie spojrzenie złagodniało.

- Nie było do czego strzelać, Web. Nie było żadnego cholernego przeciwnika, którego snajperzy mogliby rozwalić; tyle ćwiczeń i nie można się wykazać. Mieliśmy trzech facetów na budynkach stojących wokół podwórka i żaden z nich nie mógł nawet porządnie wycelować w minidziałka. Do diabła, bali się otworzyć ogień, bo myśleli, że jakiś rykoszet może trafić w ciebie.

- A dzieciak? Widziałeś dzieciaka?

- Małego czarnego dzieciaka? Taak, kiedy przyszedł uliczką z twoją czapką i wiadomością.

- Minęliśmy go też, idąc w tamtą stronę.

- Musieliście zasłonić nam widok. Poza tym światło z tej uliczki odbijało się i błyszczało naprawdę dziwnie w górze, tam, gdzie byliśmy.

- W porządku, a tamci faceci? Goście, którzy ćpali?

- Nasz snajper pilnował ich przez cały czas. Nie ruszyli się z miejsca, dopóki nie zaczął się ostrzał, a wtedy uciekli biegiem. Jeffries mówił, że wydawali się autentycznie zaskoczeni. Kiedy COT dało nam zielone światło, zesliśmy z dachów.

- Co się stało potem?

- Jak już mówiłem, dołączyliśmy do Hotelu. Zobaczyliśmy racę, stanęliśmy, rozproszyliśmy się. Wtedy przyszedł do nas dzieciak. Dostaliśmy notatkę, twoje ostrzeżenie. Everett i Palmer poszli przodem jako zwiadowcy. Za późno, do cholery. - McCarthy przerwał i Web zobaczył, jak pojedyncza łza spływa po młodzieńczej twarzy przystojnego mężczyzny; po normalnej twarzy, jaką kiedyś i on

niał. – Nigdy w życiu nie słyszałem takiej kanonady, Web. Nigdy nie czułem się tak bezradny.

– Zrobiłeś, co do ciebie należało, Ken, i tylko tyle można zrobić. – Web umilkł na chwilę, a potem powiedział: – Podobno nie mogą znaleźć tego dzieciaka. Wiesz coś o tym?

McCarthy potrząsnął przecząco głową.

– Dwóch facetów z Hotelu zajęło się nim. Chyba Romano i Cortez.

Znów ten Romano. Cholera, to oznacza, że Web musi porozmawiać z tym facetem.

– A ty co zrobiłeś?

– Poszedłem na podwórko z paroma innymi. Zobaczyliśmy cię, ale leżałeś osobno. – Znów opuścił wzrok. – I zobaczyliśmy resztę chłopaków. – Spojrzał na Webę. – Paru snajperów powiedziało mi, że wróciłeś tam, Web. Widzieli, co zrobiłeś, i wciąż jeszcze nie mogą uwierzyć, że ci się udało. Powiedzieli, że musisz mieć wyjątkowe szczęście, skoro stamtąd wróciłeś. Ja bym chyba nie dał rady.

– Zrobiłbyś to, Ken. I to lepiej ode mnie. – McCarthy wydawał się zaskoczony tą pochwałą. – Widziałeś dzieciaka, kiedy opuściliście podwórko?

McCarthy zastanawiał się.

– Pamiętam, że siedział na koszu na śmieci. Wtedy już wszyscy zaczęli się pojawiać.

– Widziałeś, jak jakieś garnitury przejmują chłopaka?

McCarthy znów się zastanowił.

– Nie, przypominam sobie tylko, że Romano z kimś rozmawiał, ale to wszystko.

– Rozpoznałeś kogoś z tych ludzi?

– Wiesz, że nie za często stykamy się z agentami.

– A DEA?

– Tylko tyle mogę ci powiedzieć, Web.

– Rozmawiałeś z Romano?

– Trochę.

– Nie wierz we wszystko, co słyszysz, Ken. To niezdrowo.

– A jeśli słyszę coś od ciebie? – zapytał uszczypliwie McCarthy.

– Zasada się nie zmienia.

Web wyjechał z Quantico i uświadomił sobie, że musi zbadać wiele tropów. Formalnie to nie było jego śledztwo, a jednak w jakiś sposób należało bardziej do niego niż do kogokolwiek innego. Ale najpierw musiał się zająć inną, jeszcze ważniejszą sprawą, chociaż pragnął jak najszybciej dowiedzieć się, kto wrobił jego grupę. I co się stało z małym chłopcem, który mimo chłodu nie miał nawet koszulki, a tylko bliznę po kuli na policzku.

[1] Washington Field Office.

[2] Shooting Review Board.

[3] Hostage Rescue Team.

[4] New Operators Training School.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).